



Anna Brzezińska

Żmijowa harfa

Saga o zbóju Twardokęsku

część 2

RUNA

Wydanie I
Warszawa 2007

ŻMIJOWA HARFA

Copyright © by Anna Brzezińska, Warszawa 2007

Copyright © for the cover illustration by Dagmara Matuszak

Copyright © 2007 by Agencja Wydawnicza RUNA, Warszawa 2007

Wszelkie prawa zastrzeżone All rights reserved

Przedruk lub kopiowanie całości albo fragmentu książki możliwe są tylko na podstawie pisemnej zgody wydawcy.

Projekt okładki: Fabryka Wyobraźni

Opracowanie graficzne okładki: Studio Libro

Redakcja: Renata Lewandowska

Korekta: Jadwiga Piller

Skład: Studio Libro

Druk: Drukarnia GS Sp. z o.o.

ul. Zabłocie 43, 30-701 Kraków

Wydanie I

Warszawa 2007

ISBN: 978-83-89595-31-7

Wydawca: Agencja Wydawnicza RUNA A. Brzezińska, E. Szulc sp. j.

Informacje dotyczące sprzedaży hurtowej, detalicznej i wysyłkowej:

Agencja Wydawnicza RUNA

00-844 Warszawa, ul. Grzybowska 77 lok. 408

tel./fax: (0-22) 45 70 385

e-mail: runa@runa.pl

Zapraszamy na naszą stronę internetową:

www.runa.pl

Konwersja: [Nexto Digital Services](#)

Spis treści

[Strona tytułowa](#)

[Rozdział pierwszy](#)

[Rozdział drugi](#)

[Rozdział trzeci](#)

[Rozdział czwarty](#)

[Rozdział piąty](#)

[Rozdział szósty](#)

[Rozdział siódmy](#)

[Rozdział ósmy](#)

[Rozdział dziewiąty](#)

[Rozdział dziesiąty](#)

[Rozdział jedenasty](#)

[Rozdział dwunasty](#)

[Rozdział trzynasty](#)

[Rozdział czternasty](#)

[Rozdział piętnasty](#)

[Rozdział szesnasty](#)

[Rozdział siedemnasty](#)

[Rozdział osiemnasty](#)

Rozdział pierwszy

O poranku owego dnia, który miano później nazwać Krwawym Spichrzańskim Karnawałem, jaśminowa wiedźma pojęła wreszcie ogrom swego nieszczęścia. Siedziała na stołku, bardzo łysa i bardzo rozżalona, i puchła od płaczu.

- Niczym owcę mię postrzygli - lamentowała. - Niby barana. Tutaj święto najznamienitsze we wszelkich Krainach Wewnętrzznego Morza, a jak ja się ludziom na oczy pokażę? Taka oszpecona?

Ot, nieszczęście z babami, pomyślał Twardokęsek. Wczoraj leżała na szrobie, na stos ją wieść mieli, a teraz nie dość, że z wieży wyszła, jeszcze karnawału się jej zachciewa.

- Trza do miasta iść. - W drzwiach stanął niziołek, a za nim nieśmiało wsunęła się Zarzyczka. - Do balwierza, kędziornika, nowe włosy kupić.

- Naprawdę? - Wiedźma nakryła dłońmi odstające uszy i zerknęła nań z nadzieją. - Włosy?

- Bardzo akuratne - przytaknął z powagą karzeł - skoro imć Szydło, znaczy się ja, pięknej pannie obiecuje. A i sam zaprowadzę chętnie, toż trzeba niewiastę w przygodzie ratować. Zwłaszcza tak nadobną.

Wiedźma pokraśniała i skromnie popatrzyła na niego spod opuszczonych rzęs. Twardokęsek bezradnie wzniosł oczy ku niebu. Starczy się babie przypochlebić, pomyślał niechętnie, a ze szczętem z rozumu schodzi i kryguje się jak, nie przymierzywszy, kwoka na grzędzie.

- Tyś już raz, bratku - wtrąciła cierpko Szarka - niewiastę w nieszczęściu prowadził, ale coś nie za bardzo doprowadził. Bo ledwo się zbóje na schodach pokazali, czmychnąłeś bez śladu. Ciesz się, że mi złość przeszła, ale tak czy inaczej oddawaj pieniądz, który ci wczoraj Jaszczyk zapłacił: jako rzekłeś, włosy kupić trzeba, będzie, jak znalazł. A towarzystwem twoim też nie pogardzimy, co to, to nie. Przyda się ktoś, kto i Spichrzę, i miejscowe obyczaje zna.

- Chciałam wam jeszcze raz podziękować - cicho powiedziała Zarzyczka. W bezkształtnej, brunatnej sukni wydawała się drobna i wyczerpana. - Ocaliliście mi wczoraj życie. Choć doprawdy nie wiem, dlaczego.

- Ratowanie uciśnionych dziewczyc - Szarka uśmiechnęła się leciutko - nie było moim zamiarem. Przechodziłam tamtędy. Widzicie, przekupiłam pewnego śmiesznego pokurcza - łypnęła złośliwie ku karzełkowi - chyba Szydło go wołali, żeby mnie wprowadził do cytadeli. Niestety, skurwysyn czmychnął w zamęcie, oby mu chwost oparszywił.

- Taka wdzięczna niewiasta, a przeklina jak furman. - Karlik skrzywił się z potępieniem. - Po prawdzie to wam nie przystoi, moja piękna pani.

- A odkądże jestem twoją panią, niziołku?

- Odkąd się mojej dawniejszej pani zmarło. A co, nie słyszeliście jeszcze - zdziwił się fałszywie - że jaśnie pani Jasenka własną ręką życia się zbawiła? Nóż przy niej znaleźli pomorcki.

- Przystańcie do nas, księżniczko - odezwała się nieoczekiwanie wiedźma. - Zrazu pokupimy włosy, a potem mam chęć pochodzić między budami, pojeść lukrecji, popatrzeć na pątników. Jedliście kiedy smażoną lukrecję?

- Nie - księżniczka pokraśniała nieznacznie - ale...

- A widzicie. - Wiedźma się rozpromieniła. - W Żary trzeba lukrecji popróbować, żeby cały rok był słodki. I sytego, maślanego ciasta, żeby rok był tłusty. I dobrze popieprzonej koźliny...

- Tylko już nam nie mów, po co! - przerwała Szarka.

Zarzyczka roześmiała się.

- A wedle południa będzie wielki pochód - dodał karzeł. - Ludziska pospółkiem przejdą przez miasto z wizerunkami żmijów, złotych węży nieba. Oglądaliście kiedy paradę pątników, księżniczko?

- Nie. - Potrząsnęła głową. - W Żalnikach Wężymord zakazał wiosennych pochodów.

- Tedy musicie z nami pójść. - Jaśminowa wiedźma objęła ją w pasie. - Sami widzicie.

Twardokęsek zaniepokoił się. Jak na razie, pomyślał, to nic dobrego nam nie przyszło z komitywy z jaśnie książętami. A za kuternózką włóczy się mrowie pomorckich kapłanów i, nie daj bóg, znów kto spróbuje ją ubić. Choćby samej nie zadźgali, przecie któremu z nas może się co złego przytrafić. A zadźgają, niezawodnie na nas wina spadnie. Po kiego biesa potrzebna nam księżniczka?

- Straże nie puszczą. Nie przemkniemy się taką gromadą. - Spojrzał znacząco ku Szarce, licząc po cichu, że choć u niej kołacze się jakiś rozsądek.

Rozczarował się.

- Puszczą - odparła dufnie. - Puszczą, bo wcale nie zamierzam się przemykać. Przeciwnie, główną bramą pójdziemy, samym środkiem. Póki się nie będziecie strachliwie po bokach rozglądać, nikt nas nie zaczepi.

- Tak samopas? - upewniła się Zarzyczka. - Bez eskorty?

Szarka popatrzała na nią ni to z rozbawieniem, ni smutno.

- Ja was chyba muszę, księżniczko, w kompanii objaśnić - powiedziała na koniec. - Oto Twardokęsek, zbójca z Przełęczu Zdechłej Krowy, miejscowy dopust i bicz boży. - Zbójca zasromał się nieznacznie, ale zaraz wedle zwyczaju pokłonił się przed Zarzyczką. Ku jego zdumieniu, oddała ukłon - iście, prawdziwa księżniczka, pomyślał. - Ogolona i pazerna na lukrecję osobka to jaśminowa wiedźma, która dwie noce temu paliła nad Modrą szczuraków. -

Wiedźma uśmiechnęła się niepewnie. – A ja noszę na głowie obręcz dri deonema. Żeby zaś objaśnień dopełnić, trzeba też i resztę naszych towarzyszy pokazać.

– Przestańcież! – syknął z naciskiem zbójca, którego owe prześmiewki zgoła przestawały bawić.

– A czemu niby? – Szarka skrzywiła się. – Toż chyba się nie wstydzisz, Twardokęsek? – Właśnie coś ryżego spod stołu łyskało. Ucapiała za kark kociaka wiedźmy; zwierzak syczał wściekle w uścisku, wił się i wykręcał. – Owo niepozorne stworzonko to wiedźmia bestia. Zwierzolak. – Twardokęskowi wydało się, że Zarzyczka przestała oddychać. – A w winorośli nad portalem drzemie jadžiołek. Ot, cała kompania. Czy wciąż chcecie, księżniczko, iść z nami na miasto?

– Jak powiadają w Żalnikach, kiedy nie można biesa pokonać, trzeba się z nim pobratać – odparła z bladym uśmiechem Zarzyczka.

Zbójca popatrzał na nią, jakby z umysłu zesła.

– Wybaczcie – nieoczekiwanie miękko powiedziała Szarka. – Złoszczę się. Nie na was, nie na siebie nawet. Ale przeszłam szmat drogi, a to, czego szukam, wymyka mi się z palców.

– Jak nam wszystkim – rzekła Zarzyczka.

Wiedźma zgarnęła wolną ręką Szarkę i pchnęła ją ku drzwiom.

– Chodźmy wreszcie – poprosiła kapryśnie. – Przecie to Żary, spichrzańskie Żary! A póki co oglądałam tylko cuchthauz w Wiedźmiej Wieży...

Twardokęsek przystanął na chwilę, kiedy wychynęli na dziedziniec. Dzień był jasny, aż słońce kłuło w oczy. Trzy kobiety podchodziły pod bramę cytadeli i w jaskrawym świetle ich sylwetki nagle wydały się zbójcy zupełnie obce, odmienne i bardzo odległe, jakby wycięte z pergaminowej karty.

Szarka rzuciła kilka słów halabardnikowi, który usiłował zastąpić im drogę. Jej złotorude, rozpuszczone włosy wiły się na ramionach, opadały aż po głowice mieczy. Nabijany ćwiekami kubrak norhemnów połyskiwał w słońcu, na czole lśniła odstonięta obręcz dri deonema. Była cała złota, roziskrzona.

Wiedźma trzymała się pośrodku. Uniosła twarz ku żalnickiej księżniczce, marszcząc nos i coś żarliwie opowiadając. Raz po raz potykała się, przydeptyjąc zbyt długą suknię w kolorze burgunda, którą nie wiedzieć jakim sposobem uprosiła u służebnych. Na głowie miała zamotaną czerwoną chustkę Szarki. Odwróciła się i przez ramię pomachała do Twardokęska. Nawet stąd dostrzegał gęste piegi na jej twarzy i gołych ramionach.

Zarzyczka szła w cieniu, przy samym murze, chuda i niewiele tylko wyższa od wiedźmy. Teraz, na dziedzińcu, widział, jak mocno utyka na prawą nogę. Prawdziwa księżniczka, zdał sobie z zadziwieniem sprawę, a gdyby nie wymyślnie upięte włosy, nie zatrzymałby na niej człek oka. Nie była ładna. Przy

tamtych dwóch wydała się Twardokęskowi podobna do świątynnych posługaczek.

Wciąż trzymając się za ręce, minęły furtkę.

Nad bramą ktoś zatknął szmaciany proporzec z wymalowanym żółtą farbą wizerunkiem żmija.

- Nie gap się w słońce - Szydło bezceremonialnie szturchnął zbójcę pod żebro - bo ci do reszty rozum wypali.

Wołwa zaskowytała. Szarpnęła się na łańcuchu, odrzuciła w tył głowę i zastygła. Z jej ust wciąż płynęła ciemna strużka krwi, w gardle dogasało rżenie, ale oczy miała już stężałe. Martwe, szklane oczy ryby.

Stara kobieta z wysiłkiem uniosła się na stercie poduszek. Mrok w pęknięciu kopuły szarzał dopiero z wolna, lecz wiedziała, że daleko na południu lada chwila rozpocznie się spichrzański karnawał, zwieńczenie Żarów, najwspanialszego ze świąt Krain Wewnętrznego Morza.

- Wynieście ją! - rozkazała ze złością. - Nie gapcie się tak, nie stójcie. Inne też zabierzcie! - pokazała szereg ciemnych kształtów, bezwładnie zwalonych pod ścianami komnaty. - Nie obawiajcie się, już nie ugryzą, ze szczętem zęby potraciły.

- Jak każecie, pani. - Strażnik nerwowo przetknął ślinę.

Boją się mnie, pomyślała Lelka, najwyższa kapłanka Kei Kaella od Wrzeciona, pani treglańskiej świątyni. Boją się mnie bardziej niż pomordowanych wołów, bardziej może niż samego kniazia. Ja też się bałam - kiedyś, dawno temu, kiedy ojciec przyszedł do nas z nienacka o świcie, by oznajmić, że oddał mnie w służbę bogini.

Matka płakała, ale nie sprzeciwiła się: i wtedy, i później mało kto potrafił oprzeć się Krobakowi, panu na Sinoborzu. Wyszliśmy nadwór. Śnieg leżał na dwa łokcie, a druzynnicy nisko, bardzo nisko pokłonili się kniaziowi. Minęliśmy furtkę, wiodącą ku świątyni, gdzie czasami posyłano mnie do najwyższej z treglańskich kapłanek, wyniosłej, surowej niewiasty, która podobno była moją ciotką. Trzewiczki, sposobniejsze raczej do tańcowania we dworcu niż chodzenia po głębokim śniegu, przemakały coraz mocniej. Książ nie odezwał się do mnie ani słowem, a ja nie śmiałam pytać. Byłam jego córką, nieślubną, ale pierworodną, i znałam swoją należność, więc milczałam.

Sypał śnieg, szuba ciążyła nieznośnie i upadłam dokładnie przed szafranowymi butami kapłanki, na progu świątyni. Ulubiony siwy ogar kniazia wskoczył mi na pierś i polizał po rozognionym od zimna policzku. Ojciec śmiał się. Podał mi rękę do ucałowania i łaskawie podźwignął mnie na nogi.

Kiedy się do mnie uśmiechnął, to było tak, jakby mi z nagłą spod korca złoto w oczy błysnęło.

Kniaź Krobak, ludołowca, który tamtego zimowego poranka jednym uśmiechem ukradł mi całe moje życie.

- Będziesz się uczyć - powiedział. - Będziesz się uczyć i czekać, póki cię nie wezwę.

Tak to właśnie pamiętam.

Czekała więc i uczyła się, zima za zimą. Świątynia była ogromna, zimna i mroczna. I pusta za dnia, mimo zmiennych ławic kapłanek i służebników. Ożywała dopiero nocą - dziwnymi, zduszonymi jękami, odległym dźwiękiem dzwonków, szybkim stukotem butów po wyludnionych korytarzach. Stłoczone w trzech wielkich łóżach akolitki tuliły się do siebie jak gromada przerażonych wróbli.

Później zobaczyła wołwy. Przypominała sobie wyraźnie, jak skowytały nocami z piwnic pod świątynią. Ciotka kazała jej iść ze sobą. Nosila rańtuszkę z błękitnej komchy, a jej ręka była chłodna i stwardniała. Są dryakwie, powiedziała, co wołwi szął budzą, są i takie, które go studzić pomagają, ale nigdy nie można bezimiennej całkowicie ujarzmić. Wyuczę cię. I wyuczyła, dobrze wyuczyła.

Stara kobieta zaniósła się suchym kaszlem. Wspomnienie było jak gorzki kłęb w gardle.

Nie chcę, pomyślała w nagłym przestraszu, nie chcę teraz o tym pamiętać. O tym, jak pierwszy raz okiełznałam wołwę i poprzez nią patrzyłam na bogów.

Jednakże przed oczami miała morze. Przejmujący wicher od Pomortu. Jedenaście klęczących kapłanek, strzepy gwiazd pomiędzy chmurami. Skrępowana wołwa, nabrzmiąte od szалу ślepie. Śpiew służek bogini, stłumione przekleństwa marynarzy. I ja, konopnym sznurem przywiązana do masztu. Kleszcz wczepiony w suknię bogini.

Jedenaście kapłanek, które przed świtem rozdarły się wzajem na strzepy.

Ale nie ja, ja byłam silniejsza. Miałam siwe oczy kniazia Krobaka - a na całej północy tylko my jedni mamy takie oczy - i wiedziałam, że pewnego dnia wezwie mnie, abym mu służyła.

Siwooka lelka w sieci ludołowcy. Nocny kruk.

Odepchnęła tę myśl, jak wiele innych rzeczy. Jak wspomnienie drobnej, czarnowłosej dziewczuszki, najmłodszej z kapłanek, która z rozpacz roztrzaskała głowę o burtę statku.

Nie, nie były pierwsze. W Krainach Wewnętrzznego Morza władcy zawsze próbowali ujarzmić wołwy i przyprząc ich moc do własnego jarzma. I nie dziw, pomyślała Lelka, taka człowiecza natura, by po moce sięgać, choćby i przekłete. Nawet teraz pomorccy frejbiterzy chowają we dworcu cztery z nich,

krwią czarną poja, by morze burzyły i gnały w odmęt zwajeckie okręty. Tyle że im się przeklęte z więzów rwą, marnują.

A ja, pomyślała ze znużeniem, dopięłam tego. Wbrew wszystkiemu. Wbrew jedenastu dziewczętom, które zabiły się tamtej odległej nocy, wbrew przykazaniom bogini i chorobie, toczącej moje wnętrze. Byłam w najgłębszej świątyni Fei Flisyon, kiedy wadzili się bogowie. Wołwia magia falowała jak płomień, paliła trzewia, rwała oddech. Przymknęłam oczy i nie wiedziałam już, czy to powiew od Pomortu na mojej twarzy, czy lodowe wnętrze Białogóry.

Szczelina w górze groty grała niczym żmijowa harfa. Wył wicher.

I spętane wołwy. Jedna po drugiej, nim zdechły.

Głosy bogów były tuż nade mną.

- Pozwoliłaś dri deonemowi odpłynąć? - szydził Mel Mianet. - Zwykle przy sobie ich trzymasz, Fea, skąd u ciebie taka nagła łaskawość? Czy też nie bez przyczyny dziewczkę w świat wyprawiłaś? Może jako ptaka na żerdzi ją wystawiasz, by znaczniejszy jaki łów przywabiła? Bo niezwyuczajna to jakowaś dziewczka. - A niezwyuczajna! - Fea Flisyon zaśmiała się. - Nad podziw niezwyuczajna! Bo kiedy przede mną tymi zielonymi ślepiami świeciła, ani sięgnąć jej nie mogłam, ani nazwania się wywiedzieć. Inne mi za to imię w twarz rzuciła. Delajati!

Mnie się w ten czas z nosa, z gęby krew puściła, przypomniawszy sobie Lelka. Jakby to obce, nieznanne miano próbowało mnie zadławić, odepchnąć. Bogowie zaś spierali się o niewiastę, która nosi obręcz dri deonema.

- Nic wyjawić nie chciała - ciągnęła Fea Flisyon. - Ani jaka ją zawierucha na Tragankę przypędziła, ani co jej Delajati w rozum nakładła.

Kogoś tropiła. Rzekła mi jego imię. Eweinren. - W dobre ją miejsce Delajati posłała - zadrwiła Kea Kaella. - Toż ty gorączkę wszelką w rękę trzymasz, żadna dla ciebie trudność dziewczce owego Eweinrena przymamić. Więc co, wysnułaś go dla niej, Fea? Dogodziłaś niebożątka? Przypochlebiłaś się Delajati?

- Nie, nie przypochlebiłam! - Fea Flisyon fuknęła.

- Powoli, Fea, powoli - zaszemrał zły, przyciszony szept Hurk Hrovke. - Czemuś tyle zwlekała? Czemuś to zmilczała?

- Bo się bałam! - zawyła Fea Flisyon. - Bo się musiałam upewnić, czy się dziewczka do mojej zatury nie przyczyni! Czyście się za moimi plecami z Delajati nie uładzili! - Teraz się już nie boisz? - wysyczała Hurk Hrovke. - Mniej ci Delajati straszna?

Wtedy właśnie pierwsza wołwa zdechła. Cichutko. Westchnęła tylko, zwinęła się jak robak nawlekany na haczyk. Zwykle nie mrą tak prędko, uświadomiła

sobie Lelka.

A potem Cion Ceren od Kostura opowiadał o wędrowce tamtej kobiety przez Góry Żmijowe.

- Niezawodnie Sandalya pchnęła ją sztormem na Krogulczy Grzebień. Stamtąd pomiędzy szczytami szła, północnym szlakiem. Póki na skalniaka nie natrafiła. Między skalniakiem i jego łupem stanęła, i mieczem porąbaną do opactwa ją przynieśli. Bliższą śmierci niż życia. Wiedźma przy niej siedziała, wiedźma, jadziołek i drab czarnobrody. Nie krzywcie się, że Fea jej imienia nieświadoma. Ja dziewczynę w rękach trzymałem, a przez palce przeciekła, plewy same w garści zostały. I dziwną rzecz mi wiedźma rzekła w opactwie, osobliwą. Że próbowała sprawić, by tamta zapomniała. Bo inaczej będzie martwa. Na końcu. - Czemuś jej, Cion, w tym opactwie nie utrupił? - Mel Mianet się zniecierpliwiał. - Byłaby martwa i koniec byłby. Jak się należy, wedle wiedźmiej przepowiedni. - Bo obręcz dri deonema na głowie miała - odparł cierpko Cion Ceren. - Obręcz w ogniu Kii Krindara wykutą. Nic przeciwko obręczy poradzić nie mogłem.

Spośród tylu innych, także i to prawo zostało więc pogwałcone, pomyślała wówczas z trwogą Lelka. Obręcz dri deonema odpłynęła ze Szczeżupin. Tak, jak ongiś miecz żalnickich kniaziów zniknął ze swego władztwa. I jak wszystkie prawa, które potargano wcześniej. Jak Kii Krindar od Ognia i Miecza, który opuścił lud Gór Żmijowych dla bzdurnych obelg Vadiioneda. Jak Bad Bidmone od Jabłoni, której nikt nie zobaczył po tamtej nocy, kiedy spłonęła cytadela Rdestnika.

A także to, co uczyniono północy z woli Zird Zekruna od Skały.

Tymczasem bogowie wciąż rozprawiali o śmierci.

- Są wszakże inne sposoby - zimno podpowiedział Sen Silvar. - Skoro służkę Delajati tak stał poszczerbiła, że mało w opactwie nie szczała, trzeba się stali chwycić. Poszczuć kogoś ze śmiertelnych. - Nie puściłam jej samej - odezwała się nieoczekiwanie Fea Flisyon. - Poślałam kogoś za nią. Złodzieja.

A wtedy w jaskini uczyniła się taka cisza, przypomniała sobie kapłanka, że dobiegało mnie jeno pohukiwanie śnieżnych sów.

W świątyni zaś Kei Kaella, daleko na północy, druga wołwa z wrzaskiem uderzyła głową w kamienną posadzkę. Coś w niej pękło i nie żyła - czasami wolą umrzeć niż nagiąć się do cudzej woli, i Lelka nie usłyszała, kim jest złodziej i dokąd zmierza.

W rozbitej kopule przybytku świeciły gwiazdy. Twarze strażników świątynnych były blade jak płótno, kiedy kazała przywieść następną wołwę. Opierała się, opierała z całej mocy. Kapłanka musiała siłą rozewrzeć szczęki

przekłętej i łać jej w gardło ciemną, dymiącą krew ofiarnego wieprza, aż jej oczy – wielkie, nabrzmiate zwierzęcą posoką i wysnutą z niej magią – odmieniły się ze szczętem.

Potem znów były pomiędzy widmami bogów, którzy prawili o zamkniętych ścieżkach i miejscu, dokąd prowadzą.

- Że wyście się na to, Fea, poważyli, więcej niż głupota – mruknęła Kea Kaella. - A żeście głowy unieśli, to po prostu niepodobna, choć teraz deliberować darmo. Byłaś z Zird, tedy wiesz niezawodnie, co jeszcze zobaczył. - Niewiele. W tumanie cienie, niewyraźne, jakby za błoną w oknie, te same, co się i wcześniej nam w majakach zwidywały. I tamto miejsce – pamiętacie? – źródło naszej mocy, zakorzenione głębiej niż cokolwiek innego. Ono... ono niknie. Mało pozostało, ledwo tli się, chybcze niby świeczka na wietrze. Ja... nie wiem, co Zird wtedy w ćmie ujrzał, sama ani patrzeć mogłam, ani chciałam... ale on potem próbował tam sięgnąć i nie zdołał. Nawet z tym, czego mu użyczyłam, nie zdołał, toteż brał coraz więcej...

Nie mogłam go zatrzymać... Bo tam już nic nie ma, za ledwie skorupa wypalona, ni siły, ni ścieżek. Ledwo co pamiętam. Zird szamotał się i prawie mnie jego szaleństwo wniwecz obróciło... moc ze mnie wciąż wysysał... i od was pomocy wołał... gdybyście... gdybyście tylko... - Słyszałem – odezwał się Org Ondrelssen. - Ale mi się w rozumie nie roilo, że wyście stare ścieżki na nowo otwierali. Fea, pamiętam, ile z ciebie zostało, jakeś się potem na Orrth doczołgała... Mogłaś mi coś rzec, Fea... - No, nie dziw, że po owych wyczynach Delajati wysyła śmiertelnych na przespīgi – posepnie oznajmił Kii Krindar.

- Nie wierzę! – wybuchnął Mel Mianet. - Ni w jedną rzecz nie wierzę! Nie możemy go sięgnąć, ale nasze miejsce trwa, Fea. Poza zatrzaśniętymi ścieżkami, lecz świetne jak dawniej i niewyczerpane. I czeka na nas. Jak niegdyś. - Mylisz się – powiedział Kii Krindar. - Wszystko zostało przesądzone.

Dawno temu. Nie bez przyczyny Delajati zamknęła ścieżki.

Kłócili się, pomyślała Lelka, a ja nie rozumiałam, o co. Gdzie jest owo miejsce, skąd ich wypędzono, jakie ścieżki zerwano. Kim jest złodziej i kim jest Delajati. Słyszałam, jak powtarzają jej imię. Z nienawiścią. Ze strachem. I sama zląkłam się ich strachu, cóż bowiem trwoży bogów?

- Wiem, dlaczego Zird pożąda tej niewiasty – z nagła odezwał się Cion Ceren. - W Górach Żmijowych rzekła mojemu słudze, że przybyła ścieżką pośród ciemności, bo wszystkie gwiazdy spadły, jedna za drugą. - Głupie to tylko bajanie – sprzeciwiła się Kea Kaella. - U mnie na Sinoborzu ledwo się księżyc odmieni, a nowa bogini się przed

kniazem opowiada. Tyle że zamiast świątynie stroić, stary Krobak na placu w płomieniach je morzy. I tak właśnie czynić trzeba, nie po próżnicy gadać. Dziw, że zwiodła dziewczka Zird bajdurzeniem o ścieżkach i gwiazdach. Dziw, żeś ty, Fea, słuchała bredni o Delajati, ale starczy tego. Chce Zird, niech ją sobie bierze. Rychło się opamięta.

- Czemu tedy Zird mój klasztor ogniem strawił? - spytał Cion Ceren.
- Ani żywa dusza się tam została spośród tych, co z ową niewiastą mówili. Nie, Kea, w rękach, we własnych, dziewczkę trzymałem. To nie wiedźma prosta, nie z naszych pomiot bękarci. - Nie może być, żeby śmiertelna owymi ścieżkami przeszła! - wysyczała gniewnie Hurk Hrovke. - Niepodobna! - Swarz się z Delajati - urągliwie odparł Mel Mianet. - Rzekłam raz i znów powtórzę - niecierpliwie rzuciła Kea Kaella. -

Jak dziewczka piaskiem nam w oczy sypie tym gadaniem o Delajati, to wnet ją Zird wybada i łeb jej skręci. A jeśli prawdę mówi, też ją lepiej Zird ostawić, niech się z naszą siostrzyczką prawują. I starczy o tym. O dziewczkach, ścieżkach, majakach i innych durnotach. Jednej rzeczy nie pojmuję, Fea.

Czemu nie dość, że wieść o dziewczce utaiłaś, to jeszcze obręcz dri deonema na łeb jej włożyłaś i w drogę posłałaś? - Ze złodziejem przy boku - przypomniał zgryźliwie Sen Silvar. A kiedy Fea Flisyon się odezwiała, pomyślała Lelka, to było tak, jakby lata w służbie bogini obróciły się przeciwko mnie, na pośmiewisko. Długie, zimne lata, podczas których nie wymodliłam żadnej odpowiedzi. Kiedy w moich snach powracali płonący żmijowie, bicie dzwonów spod ciemnego jeziora i żywa woda, którą zmacono z woli Zird Zekruna. Kiedy tłumaczyłam sobie, że przecież nie utraciliśmy tego na darmo. Że nie zniszczono by tyle piękna z powodu błahego sporu.

Mylłam się.

- Każdy ma jakąś zmore, co go w nocy gniecie - zadrwiła Fea Flisyon. - Was złodziej trwoży, a mnie on sprzymierzeńcem. Ja swoje długi płacę, Kea, a wyście mi wiele dłużni. Stary dług, zadawniony, lecz dobrze go pamiętam. Wy także wspomnijcie, jak każde z nas prosiło Kii o znak. Bad dostała miecz, ja zaś obręcz, którą opasałam czoło mojego ukochanego. - Ten twój ukochany za młodu ryże świnię śrutem karmitł - urągliwie powiedziała Kea Kaella. - A jak lepiej wyrósł, kupców po Górach Żmijowych łupić począł. Gdzieś ty, Fea, oczy miała? Że cię śmiertelny ogłupił, jeszcze ogarnąć potrafię. Ale czyś ty nie pojęła, że on nie dla obłapki do ciebie łaził? Nie po bogactwo nawet, choć i tego mu nie szczędziłaś, dość mu Sandalya pereł za pazuchę nawtykała. Bo i jej wygadzał... - Ja tego słuchać nie będę! - wrzasnęła Fea. - Wysłuchasz, Fea - spokojnie ucięła Kea Kaella -

wysłuchasz. Dość już przez tego świniopasa zamieszania. Ty nie jesteś wiejska dójka, Fea, żeby włosy rwać i skowycić. Dawno do rozumu dojść powinnaś, a jak nie doszłaś, to ci pomoc trzeba. Za dużo w łeb mu nakładałaś, za bardzo się ten świniarek nadał, za głośno się począł chełpić. Są tajemnice, których śmiertelnym w uszy kłaść nie należy, Fea. I za jedno teraz, kto twego gacha zaszlachtował, bo wszystkim po myśli było. – Ale ty i Bad innych podbechtałyście. Zeszłam z góry i patrzyłam, jak muchy łaziły po jego trupie... Bo go tam w kurzu przed pałacem zostawili, z obręczą na czole, lśniąca od porannego słońca. I pomyślałam, że jak wyście obrócili na urągowisko moją miłość, tak ja na urągowisko obrócę dar Kii, ową obręcz, w której wasza siła uwięziona. Że odtąd będzie służyć każdemu, byle rezun ją dostanie, byle ścierwo... – Nacieszyłaś się? – przerwał Mel Mianet. – Napatrzyłaś, jak się po gnoju toczy? – Nie, nie napatrzyłam! – syknęła. – Nie było mi dość, nawet jak Zird docna moc ze mnie wysączył. Szypów ode mnie chciał, od gorętwy strzał, więc mu je w garść wcisnęłam. Dlatego, że przyobiecał Bad Żalniki wydrzeć! – Och, siostrzyczko – cicho powiedział Org Ondrelssen.

– Nie wiedziałam, że on żmijów wygubi, nie wiedziałam tego, Org. Wzbranił mi przystępu do źródła llv, znalazł więc łotra z wolnych frej biterów, bo podstawy Pomortu wciąż leżały na dnie Wewnętrznego Morza. Przywabił go i wiele przyobiecał, okręty niedościgłe, nad krainami władzę, sławę po kraj świata. I pomstę nad rodem żalnickich kniaziów. – Stare to dzieje, Fea – przerwała Hurk Hrovke. – Ale na koniec jeszcze jedno mu Zird poprzysiągł – ciągnęła Fea. – Że jeśli zdoła zmać jasne źródło llv i wniwecz je obrócić, wyniesie go po nad śmiertelnymi i nam podobnym uczyni. Nie darmo sorelki wielkimi głosami płaczą.

Ja też płakałam, pomyślała Lelka. Patrzyłam na wołwę, martwą na kamiennej posadzce przybytku, i wiedziałam, że teraz się nie zatrzymam. Gdyż jeśli taka właśnie miała być historia Wężymorda, który włada żalnicką ziemią... Jeśli za cenę śmierci żmijów bogowie poczęli wybierać ludzi tego świata i tworzyć hybrydy, nieśmiertelne, a przecież nierówne sobie... I jeśli dlatego odebrano nam żywą wodę, to nie zostało już nic, w co można uwierzyć.

Bo nawet wtedy, gdy moc Zird Zekruna rozpełzła się po północy, biło wciąż źródło llv, a żmijowie zachodzili w ludzkie siedziby. Grały żmijowe harfy pod naszymi dachami i były pieśni – o zapomnianych ścieżkach, o żywej wodzie, co wszelkie opętanie odpędza i niweczy. Była nadzieja. Póki Zird Zekrun nie odnalazł wśród piratów Wężymorda i nie posłał go tam, gdzie wzbroniono przystępu bogu, by wymordował żmijów.

Milczeli, przypomniawszy sobie sędziwa kapłanka, milczeli, bo na cóż powtarzać, co wszystkim wiadome? Sowy pohukiwały obojętnie. A we mnie

wzbierał krzyk. I zrozumienie.

- Prawda jest, że co Zird raz mocą swoją uczynił - podjęła Fea Flisyon - **tego zniweczyć nie zdoła, chyba siebie samego pospołu gubiąc. Tedy zawczasu pomyślał, jak go w niewolnika obrócić. A ja sama pomogłam, kiedy mu szypy moje w garść wcisnęłam. Dwie lodowe strzałki, by dwoje w jedno spętać i okaleczyć, dwie strzałki, by ich niczym ciemne kłacze przerosły. Tak moc moją Zird pohańbił w ową noc, kiedy płonęła cytadela w Rdestniku. - Czyś ty inaczej postąpiła z Thornveiin? - spytał oschle Kii Krindar. -**

Zwierz dziki wędruje, gdzie dworce Kopienników stały. Na miejscu Stopnicy o rdzawych murach koper dziki, piołun i bluszcz trujący się wiją. Jak cię niby Zird pohańbił, kiedyś sama tyle stworzeń wygubiła? Władztwo wielkie starta dla jednej dziewczki...

- Alem jej nie sprzegła z tym, komu śmierć niepisana! - **wrzasnęła Fea Flisyon. - Nie wlałam w jej żyły przekleństwa, co ją pomału zmieni w kamień!**

Nie widziałam ich dłużej, pomyślała kapłanka, same głosy nagie pod czaszką mi się kołatały. A potem Fea Flisyon powiedziała tę ostatnią rzecz. I śmiała się, jak śmieją się czasem zdychające wołwy.

- Nie wiem, dlaczego podarowałam tamtej niewieście obręcz dri deonema. **Wstyd mi było po trochu, że poskromić jej nie potrafię, Delajati też się sprzeciwić nie śmiałam. Lecz to mi też na myśl przyszło, że a nuż się za przyczyną obręczy wyrówna to, co miało początek na owym zapyłonym placu, gdzie na wasz rozkaz szlachtowano mojego ukochanego. I choć złodziej prawił, że wy Zird nie zatrzymacie, może się jeszcze na coś zda moc moja. Chociażby na to - znów zachichotała - żeby nikt nie wiedział, komu przypadnie. - Fea! - zaprotestowała Kea Kaella. - A tak! - Zaśmiała się kolejny raz. - Rzuciłam kośćmi o własną moc: kto ją dostanie, po dwakroć silniejszy będzie. Czas jakiś minie, nim Zird tę sztuczkę przejrzy. - Ty tego, Fea, uczynić nie możesz - oponowała Kea Kaella. - Ślepy los, czy się ze snu kiedy ockniesz. - To moje prawo i moja rzecz. Niech mi Kii kryształową trumnę przygotuje - odparła lekko - i różę złotą w dłoń da. Kiedyś się przecież nowy świniopas przybłąka, a jak nie będzie do całowania skóry, to różę z pewnością ukraść spróbuje. Wszyscy oni jednacy.** Wicher zagrał ostrzej na szczelinie u szczytu groty. Brązowa suka drzemała przed paleniskiem u stóp Lelki. Żar się prawie dopalił.

Z roztruchanu w ręce kapłanki ściekało wino. A spora się już kałuża nazbierała.

Czas, myślała Lelka, nocny kruk. Potrzebuję więcej czasu, nim nastanie wojna. Żeby zyskać pewność, w którą stronę obróci się każde z nich. Każda

spośród nieśmiertelnych mocy. I ludzi.

Na świątynnym trakcie ogarnął ich tłum pątników. Twardokęsek zacisnął palce na sztylcie i, solennie przeklinając własną głupotę, trzymał się blisko pleców Zarzyczki. Mało było nieszczęścia, myślał z goryczą, mało zamieszania? Trzeba, żeby nam jeszcze książęcą kuternózkę pod samym nosem zaszlachtowano, dopiero będzie uciecha i widowisko. Bo przecież wczorajsi zbójce to nie żadni zbójce byli, jeno pospolici miejscy partacze. Ech, psuje się rzemiosło, coraz bardziej na psy schodzi. Kto widział, żeby się na oczach połowy miasta z kopiennickimi szarszunami na dziewczkę zasadzać? Królobójstwo jest robota misterna, subtelna. Zdałoby się w gęstwie przycziąć, jedną ręką gębę zatkać, żeby nie krzyczała ptaszka, a drugą sztyletem pod żebro zmacać. Jako się może teraz przytrafić.

Jakby słysząc jego rozmyślenia, Szarka uśmiechnęła się drapieźnie. Zbójca spostrzegł, że prawą rękę trzyma niedbale opartą o pas, za którym miała pozatykane srebrzyste gwiazdki, i przypomniał sobie, jak jedną z nich zabiła dri deonema na placu przed świątynią Fei Flisyon. Ani chybi, pomyślał z uznaniem, umna jest gadzina i też dobrze rozumie, że w ciżbie może się lada co zdarzyć. Byle jeno nie zaczęła gwiazdkami bez namysłu między ludzi ciskać, bo przecież ona w niczym ani miary, ani opamiętania nie zachowa...

A potem, kiedy patrzył, jak rudowłosa zaślania Zarzyczkę, bo tłum bardziej począł na nich napierać w jednej z bram broniących przystępu na trakt do świątyni, błysnęło mu we łbie podejrzenie, że nie bez przyczyny wywiódła księżniczkę do miasta. Na wabik ją wystawia, pomyślał z mieszaniną podziwu i odrazy, by się te morderce raz jeszcze objawiły. Ot, masz księżniczko, dowód, jak się z biesem łatwo pobratać i jak on ci przyjaźni dochowa.

Oddział Servenedyjek przeciskał się z wolna pomiędzy ławicą pątników w szpiczastych kapturach i zbójca skulił się w sobie, głowę wciągnął w ramiona, pamiętał bowiem wyśmienicie, żeznaczono za niego nagrodę w szczerych książęcych groszach. Przez chwilę lękał się, że południowe wojowniczkę rozpoznają zbójce sławę Gór Żmijowych, jednak minęły go bez słowa. Obojętnie omiotły spojrzeniem żalnicką księżniczkę i wiedźmę. Tylko wysoka niewiasta o twarzy niemal zupełnie pokrytej gęstym, sinym tatuażem, szarpnęła wodzami, pokazując na Szarkę, lecz przywódczyni zaświergotała ostro w nieznanym zbójcy języku. Rudowłosa nie obejrzała się nawet. Ze zmarszczonymi brwiami patrzyła ku odległej wieży Nur Nemruta.

Karzeł pociągnął ich w boczną furtkę, ku zaułkom starego miasta. Przeciskali się dalej, póki zażywna niewiasta w sztywnym czepcu i wielkiej mnogości nakrochmalonych spódnic nie wpadła na nich z impetem, mało nie

przewróciwszy niziołka.

- Patrz, gdzie leziesz, pokrako! - Walnęła go po grzbiecie kobiałką.

- A waszmości nie nauczyli, żeby lepszym od siebie drogi nie zastępować? - uprzejmie spytał karzełek. - I nie wstyd tak z samego ranka ludzi pocziwych łżyć?

- No, patrzajcie, moiściewy! - Mieszczka aż pokraśniała ze złości. - Nie dość, że się konus pod nogami płacze, to jeszcze, charchała, manier mnie będzie uczyć. Ty wiesz, kto ja jestem, paskudo? Ja Gałkowa jestem, piekarka, wdowa po Gałce, rajcy miejskim. I radzę po dobroci, zawrzyj tę parchotrętą gębę albo każę cię w ciemnicę wrzucić. Co to się porobiło! - Wsparła ręce o boki i rozejrzała się, przywołując wzrokiem świadków zniewagi. - My to miasto własnym sumptem stroili, my i ojce nasze, a ninie przylezie byle chanaja i rozpycha się jak we własnym chlewie. Tylko tego trza, żeby nam ulicami strach chadzać było!

- Pohamujcież się, wielmożna pani Gałkowa - odparł śmiało Szydło. - Nie wiecie, z kim rzecz, a ujadacie jako psi do księżyca. My z samego dworu księcia Evorintha idziemy, ale prócz świeckiej, inna jeszcze na was kara spaść może, bo wy nam w świętej sprawie zawadą stajecie. Widzicie te dwie szlachetne panny? - Wskazał na Zarzyczkę i Szarkę, która, wedle Twardokęska, z trudem powściągała wesolość. - One u samej księżnej pani we fraucymerze służą, a na wieść o nieszczęsnym napadzie szczuraków podjęły wielkie a szlachetne ślubowanie.

- Ślubowanie? - Mieszczka wytrzeszczyła oczy, a po jej okrągłym obliczu rozlał się wyraz nabożnego zdumienia. - Jakież ślubowanie?

- Ano takie - dobitnie rzekł niziołek - że sploty własne dziewicze obciąć poprzysięgły, a rycerzom prawym je oddać na cięciwy do łuków. A póki ślubowania nie dopełnią, milczeć obiecały i dlatego jeno waszą bezczelność cierpią.

- A w czym niby ichsze włosie łukom ma dopomóc? - podejrzliwie spytała Gałkowa.

- W tem mianowicie - wyjaśnił karzełek - że przeciwko plugastwu obmierzłemu nie samo żelazo, ale dziewicze sploty w cięciwach, modlitwa czysta i ślubowanie najwięcej zaszkodzić władne. Trza jeno pierwej łuki w świątyni Śniącego pobłogosławić a wodą z cudownego źródła poświęcić. I jak się potem zmaca szczuraka strzałą z takiego łuku, to ani odmienić się przeklętnik nie zmoże, ani pod ziemię nie ucieknie.

- A nie szucicie sobie aby ze mnie? - dopytywała się mieszczka. - Prawdę gadacie?

- Gdzie bym śmiał z takiej sprawy igry czynić? - Z potępieniem pokręcił głową. - Toż patrzajcie, pani Gałkowa, na tę szlachetną pannę - ukłonił się przed wiedźmą. - Ja wam jej imienia ni rodu rzecz nie mogę, taka by was trwoga

zdjęta i zadziwienie, ale spójrzcie, jak się dla owego ślubowania postrzygła. – Wiedźma odsunęła nieco chustkę, odsłaniając skraj pokiereszowanej głowy.

– Olaboga! – Mieszczka splotła dłonie na piersi; palce miała jak pęto świątecznych parówek. – Oj, strach oglądać!

– Tedy widzicie, że z was nie dworuję, bo i kto by się poważył na podobną rzecz dla samej drwiny? Ale skoroście nam drogę zastąpili, pani Gałkowa, rzeknijcież, gdzie tu najbliżej do jakiego zacnego balwierza.

– Prosto na sąsiedniej ulicy balwierz siedzi. – Mieszczka stropiła się do reszty. – Małżonek mój nieboszczyk do niego chadzał.

– Tedy wybaczcie, pani Gałkowa – znów pokłonił się nisko – że uchodzimy, ale pilno nam ślubowania dopełnić.

– Zaczekajcież! A wyjawcie mi jeszcze, czy jeno dziewicze włosy przeciwko szczurakom sposobne? – spytała zaaferowana Gałkowa.

– No – karzeł udał namysł – najpierwej dziewicze... Ale gadają ludzie, że jeśli ślubowanie ze szczerego serca poczynione, to i wdowa czysta postrzyć się może, a i mężatka nawet. Byle zacna i nie latawica – pogroził palcem.

– Bóg wam zapłać! – uradowała się mieszczka. – A pannom szlachetnym uszanowanie moje i zdrowia wszelakiego życzę, i szczęścia za ich mężne serce i postanowienie. Bywajcie zdrowi.

– Bywajmy – łaskawie zgodził się Szydło.

Ledwo pani Gałkowa zniknęła za rogiem, Szarka zaniosta się śmiechem.

– Toż ona prawdziwie gotowa się do gołej skóry wygolić – zauważyła z potępieniem księżniczka. – A wstyd będzie, jak się ludzie dowiedzą, że to tylko figlik złośliwy.

– I dobrze – zajadle odparł karzeł – bo wstrętna baba, gruba, sprośna i zadufana. Wlazła na mnie jak krowa, trzewik mi przydeptała, a jeszcze mordę drze i wyzywa. No, obaczmy teraz, jak się po postrzyżynach będzie babsztyl rozpychać. Dobrze, że w karnawał przebierańców wszędy co niemiara, bo inaczej niełatwo byłoby babie wmówić, żeście dwórka – łypnął ku Szarce. – Panny z fraucymeru rzadko wdziewają podobne stroje.

– A mnie się zdaje – zaśmiała się w odpowiedzi – że i wasze współczucie, księżniczko, i twoja radość, Szydło, przedwcześnie. Bo pewnie pani Gałkowa w teże chwili kumoterkom o ślubowaniu opowiada i nim wieczór nastanie, każe się pół mieszczaństwa do gołych czerepów ogolić.

– Może to być – przytaknął zbójca. – Dziwna jest w ludziach chęć, żeby za tymi, co od nich wyżej siedzą, jako owce durne leżać i to samo czynić. Dość, by się jakie co bardziej bzdurne szatki na książęcym dworze pojawiły, a nie minie miesiąc, w każdym zadupiu je widać. Ot, jedzie człek lasem i drwała spotka. Chłop jak byk, z siekierą, spocony, nieochędogi, ale na zadku co ma? Ano, rajtuzy pstrokate, iście jako dworscy sodomici! – Splunął. – A na nogach? Toż

nie łapcie z łyka, jako drzewiej bywało, ale trzewiki z zakręconymi noskami. Ledwo w tych trzewikach po krzakach leżać może, sam sobie fikuśne noski nieraz przydepcze i na pysk się przewróci, ale on ninie pan! Żadnego porządku nie ma ani uważania...

- Pomyślałby kto - Szarka prychnęła - że zbójca przeciwko wszelkiemu porządkowi winien występować. Tymczasem ty, Twardokęsek, jesteś tradycjonalista zagorzały jak mało kto.

- Bo gdzież tak! - Zbójca zaperzył się jeszcze bardziej. - Widzieliście, jaki czepiec rogaty baba miała? Prawie jako łoś nade łbem go niosła. A wyszywany czym? A srebrną nicią! A spódnic ile na rzyć wdziała? Wedle mego rozeznania z tuzin, a wszystkie wykrochmalone tak, że na łokieć nad ziemią sterczą! Przecie ona nie pani paradna, ale prosta mieszcza! Przecie są edykty, co jawnie mówią, że mieszczańce więcej niżli trzech spódnic wkładać nie lza. I co? Po staremu jako chcą łążą!

- I ty byś ich, Twardokęsek, z owych nadliczbowych spódnic i srebrnych czepków, nie zwlekając, obdarł?

- A pewnie! Bo nie przystoi! Toć popatrzcie na naszą księżniczkę. - Zarzyczka, z nagła nazwana „naszą księżniczką”, zarumieniła się lekko. - Toż ona skromna jako wróblík. Opończę z prostego sukna nosi i telejkę zwyczajną, ubożuchną. A byle baba...

- Starczy już, Twardokęsek - przerwała Szarka - nim coś do cna głupiego rzekniesz.

- Przeciwnie - wtrąciła Zarzyczka - ogromnie mnie ciekawią pana Twardokęskowe rozmyślenia o strojach i świata porządku. Nie przerywajcież sobie, panie Twardokęsek, nader chętnie posłucham.

Zbójca aż podniósł rękę, żeby się z ukontentowania pogładzić po brodzie, jak miał w zwyczaju. Ale zaraz sobie przypomniał, że nie ma już pięknej, czarnej brody, bo się ze szczętem spaliła w gospodzie Goworki.

- Po mojemu, księżniczko - zaczął - to rychło rozeznac można, że wyście pani przystępna, łaskawa i miłosierna. I to jest rzecz dobra, niewieściej naturze przypisana, ale czego za wiele, to tym bardziej szkodzi. Bo tak to we świecie, że jak się kto za mocno nagnie, to tym łacniej go podepczą. Bo pan to musi być pan. Choćby nie wiem jak ludziom sprzyjał, przecie on nie swojak. I nie jak swojaka powinni go miłować, ale, widzicie, księżniczko, tak ze strachem a nabożeństwem. Nie zda się panom z pospółstwem zanadto bratać, bo to nikomu na zdrowie nie idzie. Wedle mnie, księżniczko, wam nie brunatne szatki przynależą, wyście nie mniszka-czernica. Wyście kniaziowska dziewczka i żalnicka pani zwierzchnia, wam złoto przystoi i pontały sute, błyszczące. A ta pyskata baba nie łokciem trogać was winna, ale niziuchno pysk skłaniać, jak na nią z powozu spojrzeć raczycie! Ano!

Chciał jeszcze więcej gadać, ale wtedy właśnie wiedźma zrobiła coś, co

zupełnie pomieszało zbójcę i pozbawiło wszelkiej elokwencji. Wspięła się na palce, zarzuciła mu ręce na kark i nim cokolwiek zdążył rzec, głośno ucałowała. Pośrodku traktu i na nic się nie oglądając.

- Nigdy nie żałowałam, że idziesz z nami - oznajmiła, wciąż wisząc na jego szyi, a właściwie Ignąc doń bezwstydnie całym ciałem. - Od samej Przełęczy Skalniaka ni jednego dnia nie żałowałam.

Zbójca z zakłopotaniem począł wyplątywać się z wiedźmiego uścisku, starając się nie słyszeć pieprznych docinków, którymi hojnie raczyli go biesiadujący przy murze pątnicy.

- No co? - Karzeł zeźlił się. - Będziemy tak stać na środku traktu i komplementa sobie prawić czy balwierzka szukamy?

Balwierz, a raczej balwierka, okazała się przykrą, swarliwą staruchą. Na widok kompanii wychyliła się z okna, na którym miała porozkładane narzędzia swego rzemiosła, i z miejsca jęła im złorzeczyć.

- Mnie tam za jedno, kto jesteście - ucięła tłumaczenia karła. - Wy mnie ócz nie próbujcie mamić, bo dobrze wiem, za jakie kurestwo was do łysego postrzygli. No co, ladaco, ślepią wytrzeszczasz? - rzuciła ku żalnickiej księżniczce, która istotnie przypatrywała się jej ze zdumieniem. - Myślisz, że jak sobie na łbie warkoczyków pozaplatasz niby pani ze dwora, to człek złego nie rozpozna? Złazą się, psiakrwie, z całych Gór Żmijowych jako muchy do lepu. Niby się na służbę najmują, ale zamiast gary czyścić, całe dni po ulicach paradują, kuprami kręcą. Poprzebierane, wyszminkowane, że obraza boska. To ja powiadam, bardzo dobrze, że postrzygli, szkoda tylko, że nosa za bałamuctwo nie obcięli i czoła żelazem nie napiętnowali. Żelazem grzech wypalać trza!

Co jeszcze o grzechu rzec chciała, nie usłyszeli, bo zeźlona Szarka pochwyciła za okiennice i z rozmachem balwierski sklepik zamknęła, srodze gospodyni gębę przytrzaskując. Ze środka dobiegł łomot i przytłumione, lecz paskudne przekleństwa. Szarka roztropnie przyspieszyła kroku.

- Ludzie jacyś niezbyt tu przyjaźni - skonstatowała Zarzyczka.

- Spichrzańscy - pogardliwie wyjaśnił Twardokęsek. - Harde i nadęte ścierwa. Wy wiecie, księżniczko, jak oni nas podejmowali, kiedy szcuracy na kopiennickie władztwo ruszyli? Ano zasadzali się wedle samej granicy na uciekinierów i rzezali mężów, baby, dzieciśka pospołu. Rabunkiem a krwią niewinną cała Spichrza stoi. Ech, niechby się jaka okazja trafiła - wykrzywił się szpetnie - ja bym im tak za tamte rzezie odpłacił, że i za wiek niewiasty by moim imieniem dzieciaki straszyły. Nadto umyślili sobie, że ichniejsza Spichrza wszego świata cud i pępek. Łzą jako psi! Kędy im do kopiennickiej Stopnicy, co niegdyś w Górach Żmijowych władała! Kii Krindar ją wyznaczał, w samym środeczku ziemi, a kto jak kto, ale on przecie na miarach rozumieć się musi. Kowal jest fach solidny, uczony, nie to, co tutejsza kukła, co ją za boga mają.

Przecie Nur Nemrut jeno spać a chrapać potrafi! Środka świata on by nie rozpoznał, choćby mu we śnie na sam łeb zleciał...

Rozważania o środku świata przerwał zadyszany wyrostek, który wczepił się w połę Twardokęskiego kubraka. Lewe oko miał podbite, podeszłe krwią, chałat wytarty i poplamiony. Szarka płynnie zastawiła mu drogę do księżniczki.

- Poczekajcież! - zasapał. - Ja wedle włosów.

- Jak się twoja pani namyśliła, to trochę poniewczasie - zauważyła Szarka.

- E, gdzie by się namyśliła. - Chłopak wyszczerzył niemiłosiernie spróchniałe zęby. - Nos starej rozbiliście. Sroży się teraz okrutnie i straży krzyczy, a was przeklina takimi wyrazy, że podziw bierze. Ja tak... wedle własnego rozumu... Bo po co macie po innych balwierzach chodzić? - Rozsznurował sakwę i wyciągnął z niej perukę.

- Ukradłeś? Mistrzynie swojej zwędziłeś?

- Jaka ona mistrzyni! - Wyrostek zachnął się. - Małpie łacniej brzytwę dać niżli jej. Mistrzem był jej mąż, zmyślny człek okrutnie, i ogolić potrafił jak nikt inny, i w chorobie poradził, i zęba wyrwał... a jak pijawki przystawił! Sam jeszcze peruki postroił.

- Umarł biedaczek? - użaliła się wiedźma.

- E, gdzie tam! - wyjaśnił fryzjerczyk z uciechą. - Łońskiego roku od starej uciekł z dziewczką do posługi. Dlatego pani na niewiasty służebne strasznie zajadła. Póty do ratusza łąziła i rajce prześladowała, póki nie uradzili, że się sługi za nierząd postrzygać będzie na Rynku Solnym, przy pręgierzu. Ale i tego jej mało, zarazie. Umyśliła, żeby im nosy obcinać ku przestrodze. Ot, jak oszaleje baba stara, to ze szczętem. Zakład podupadł, czeladników precz popędziła, ledwo ja się ostałem, a i mnie bija, jako chce, choć przecie już po wyzwoleniu. Patrzcie, co mi przed samym świętem uczyniła - wskazał na oko.

- To czemu precz nie pójdziesz? - rozsądnie spytał Szydło. - Po wyzwoleniu twoja wola, iść li zostać.

- Bo jak się starej cholerze zemrze - oznajmił chłopak - a niezawodnie ją rychło żółć zadusi, sam się na zakładzie ostanę. Choćbym miał za schedę krom zakładu wziąć tę cherlawą niedojdę, mistrzową córkę, nic to. Niech mnie biją, póki pora. Potem ja bijał będę.

- Słuszna rzecz zakrzątnąć się wedle swego losu. - Karzeł pokiwał głową. - I słuszna rzecz podobną przezorność wspierać. Pokażże peruki, chłopcze.

Peruki były rozmaite: zbiegły mistrz dobrze znał rzemiosło, prócz wymyślnych zapustnych koafiur porobił bowiem też bardzo zgrabne podróbki zwyczajnych niewieścich splotów. Wiedźma aż pisnęła z zachwytu nad wielością porozkładanego na murku włosia i poczęła je kolejno przymierzać, raz po raz dopominając się werdyktów żalnickiej księżniczki.

- Chodźmy stąd! - Twardokęsek z nagłą pochwycił Szarkę za łokieć. - Czego

nam tu szukać? Toż to wszystko nie nasze, nie dla nas ten karnawał nagotowany. Chodźmy, póki jeszcze czas, ani kto po nas płakać będzie. Ja wiem – brnął dalej, skwapliwie unikając spojrzenia przenikliwych, zielonych oczu – że wy za żalnickim wypędkiem idziecie. Ale nic wam po nim. Pluńcie na książęta i spiski kapłańskie, szczęścia wam od nich nie przybędzie. Ot, popatrzcie na księżniczkę, szczęśliwa ona może po tym, jak Zird Zekrun łapę na niej kładł? Takoz i Koźlarz... długo się on po Krainach poobraca, nim go cichcem zaszlachtują? A ja was w góry poprowadzę, wysoko, kędy jeno zbójce a górskie kozy chadzają. Bo przecie i w was zbójcka natura, ani takiej człek nie okiełzna, ani w murzech nie zamknie. Zobaczycie, tam wedle Przełęczy Zdechłej Krowy ścieżki takie, że jeno słoneczko boże wyżej człeka. Przyczaim się, przeczekamy, aż się wszystko utrzęsie, aż przepomną o nas i bogowie, i książęta. Wiecie, ile my razem dopiąć możemy? – Pokręcił z zadziwieniem głową. – Zwoła się kompaniję godną, swojaków, co nie spisków, ale zarobku szukają. Już nie po samym gościńcu łupić będziemy, bo jak się na dobre ruchawka zacznie, jak Wężymord na książęta uderzy, wtedy człek roztropny łacnie i włość dla siebie wykroi. Są przecież w Górach Żmijowych stare kopiennickie warownie, są twierdze puste. Trzeba jeno głośniej krzyknąć. Wyście niewiasta uczona, wiecie, jako to w czas zamętu bywa: fortuna jedne ludzkie w wierch, drugie na spód ciska. Tedy zda się zadbać, by nas na sam szczyt wyniosła. Trzeba się wedle swej doli zakrzatnąć jak ten balwierski pacholek. Wspomnicie zaś żalnickiego zaprzańca, to wam Jagódka wiedźma taki napar uwarzy, że go do reszty zabędziecie...

– Mnie ani napary, ani korczywa nie pomogą – powoli rzekła Szarka. – To nie jest... to nie jest tak, jak sądzisz, Twardokęsek.

Wiedźma roześmiała się donośnie, a niziołek z rozmachem klepnął czeladnika po plecach – widać dobijali targu.

– A w Górach Żmijowych... – ciągnęła Szarka. – W Górach Żmijowych byś mnie bez zwłóczenia katu wydał.

– Może bym wydał, a może nie – odparł po namyśle Twardokęsek. – Jam was na Szczeżupinach dri deonemowi na rzeź posłał, a wyście mnie przez cały zbójcki gościniec jako łysą kobyłę przepędzili. Tedy my kwita, po sprawiedliwości. Ale kiedym wczoraj w Wiedźmią Wieżę popadł, to przecie nie ostawiliście mnie oprawcy. A ja swój honor mam, choćby i zbójcki. I mnie się tak zdaje, że my jedna kompania.

– Nie, Twardokęsek – przerwała dziewczyna. – Wróciłam, bo mi wiedźma potrzebna, nic innego. A co do kompanii – zaśmiała się przyciszonym, złym śmiechem, od którego zbójcę nieodmiennie przechodziły ciarki – to mnie kiedyś nazywali Llostris. Wilczyca, ryża wilczyca...

– I wilki w stadach chadzają.

– Ale jak je głód bardziej przycisnie, to dorzynają co słabszych towarzyszy i na

ich ścierwie uczują. Nie rób ze mnie tego, czym nie jestem, Twardokęsek. Bo choćby cię na głównym spichrzańskim placu ogniem palili, bez słowa obok bym przeszła, nie obejrzała się za siebie. W jednym jednak masz rację: żeśmy coraz głębiej w niewodzie, a nie wiedzieć, czyje ręce sieć dzierżą. I ja tak sobie myślę – uśmiechnęła się samymi kącikami ust – że należy się twego sposobu jąć, Twardokęsek. Trzeba sobie jamę i drogę do ucieczki nagotować. Ani spiskiem, ani skomleniem, tylko starym, zbójckim fortem...

Kiedy skończyła, oczy zbójcy zabłyły.

Rozdział drugi

Nawał wrzasków, pstrokatych kolorów i obcych woni niemal ogłuszył księżniczkę. Nigdy wcześniej, pomyślała ze zdumieniem, nigdy wcześniej nie byłam na targowisku, nie wyklócałam się o cenę wyschłych na wiór obwarzanków i nie kosztowałam ciastek z makiem o tak sprośnych kształtach. Jednakże cała spichrzańska jaskrawość i zgiełk wydawały się jej dziwnie odległe, zamglone. To nie jest mój karnawał, pomyślała z niespodzianym przestraszaniem. Maski żmijów na kramach i wywieszzone w oknach kamienic płachty z prośbami do Nur Nemruta – to też nie moje. Ani kuglarze, którzy hałaśliwie wabią przechodniów do namiotów, ani wesołkowie żonglujący pochodniami wprost nad kapeluszami pątników. Ani tłum przybrany na pamiątkę żmijów w odświętne barwy żółci i złota. Pulchne mieszczki o zadowolonych, nalanych obliczach. Krzykliwe, wygadane przekupki w spódnicach sztywnych od krochmalu i wysokich bieluśkich czepkach. Ich mężowie z długimi kopiennickimi kordami u pasa i nosami poczerwieniałymi od skalmierskiego wina. Żadnego z nich nie zobaczyłabym dzisiaj z murów uścieskiej cytadeli.

W Żalnikach bowiem od śmierci starego kniazia nie świętowano Żarów. A przecież, zamyśliła się, zawsze znalazła się służebna, która powiesiła w mojej komnacie choćby płócienną żółtą wstążkę. I kiedy kapłani Zird Zekruna schodzili do przybytku – bo żaden nie ośmielił się w tę noc pozostać w cytadeli – zawsze ktoś potajemnie przyniósł mi kawałek miodowego placka. A potem siedziałam z Wężymordem w sali wspartej na ciężkich, dębowych pniach. Ogień buzował na palenisku, jako że w wichrowej Uścieży nigdy nie ma prawdziwego lata, a my graliśmy w szachy na poczerniałej ze starości ławie, póki nie nastał świt. Przy kominie wylegiwały się psy, stare i prawie ślepe, niezdatne do polowania. I wiedziałam, że jeśli podniosę wzrok, ujrzę na powale poskręcane kształty żmijów – gdyż cytadelę w Uścieży zbudowano w czasach, gdy dawni kniaziowie wciąż czcili skrzydlate węże nieba. Jednak nigdy nie patrzyłam w górę, a Wężymord w milczeniu nalewał do roztruchanów ciężkie, skalmierskie wino. I tak upijaliśmy się bez słowa w noc Żarów, najświętszą z nocy, nad szachownicą, na której żadne z nas nie mogło wygrać.

Dlaczego teraz o nim myślę? – przestraszyła się. Dlaczego przed oczami mam tamtą milczącą salę i przyciszone skomlenie psów?

Wiedźma zaśmiała się niskim, ochrypłym śmiechem i pociągnęła Zarzyczkę głębiej w tłum pomiędzy kramami. Zamyślali pokręcić się trochę po rynku, a potem świątynnym gościńcem pójść ku wieży Śniącego i wedle zwyczaju pokłonić się bogu. Co prawda, pobożność ta wydawała się księżniczce nader szczególna u wiedźmy, zbója, rudowłosej Zwajki i karzełka, z którego mowy

jawnie wniosowała, że nie żywi większego szacunku dla świętości. Nie oponowała jednak. Pozwalała, by chropowata wiedźmia ręka ciągnęła ją między budami, jadła lukrecję i mrużyła oczy od południowego słońca. Właściwie było jej wszystko jedno.

Nie zdołali się wszelako przepchnąć na środek rynku. Pątnicy w chłopskich oponczach tłoczyli się wzdłuż drogi pochodu, który rychło miał ruszyć ku świątyni, i na koniec niziołek postanowił, że trzeba najgorszą ciżbę przeczekać. Mam znajomka, który w czas Żarów taras gapiom wynajmuje, powiedział. Procesja tędy przechodzi, wszystkiemu się więc należycie przypatrzemy. A kiedy się ludziska w spokojności rozleżą, wtedy sami na wierzch wejdziemy i pokłonimy się Nur Nemrutowi.

Dopiero w podcieniach zasobnej kupieckiej kamienicy księżniczka spostrzegła, że kompania zmaląła.

- Tak mi się coś zdaje, że jednak się nie pojawią - rzekła, kiedy za karłem zatrzasnęły się wielkie drzwi, na których odlany w brązie Vadiioned majestatycznie prowadził swoją armię przeciwko Żalnikom.

- Ja też zaczynam tracić nadzieję - lekko odparła Szarka.

- Kto? - Wiedźma wytarła lepkie od syropu palce w warkocz peruki. - Kto się nie pojawi?

- Zabójcy - wyjaśniła wciąż niestropiona Szarka.

- Zatem dla własnej ciekawości wystawiliście nas pod nóż skrytobójcom? - Zarzyczka uniosła brwi. - Zbójcę precz odesławszy, żeby jeszcze łacniej morderców ściągnąć? Na niewiasty, co samotrzeć i bez pachotków po mieście się włóczą?

- Nie. Wiedźma was w miasto iść prosiła, nie ja. Z własnej woli poszliście i własna ciekawość was gnała. O rzezi zaś nie mówcie, póki u mnie miecze przy pasie i póki nad nami jadołek krąży.

W tejże chwili dźwierza otwarty się ponownie, a w szparze ukazało się zadowolone z siebie oblicze karła; dał znak, by co prędzej wchodziły.

- Zresztą na razie i moja, i wasza ciekawość na nic - odezwała się na ciemnych, spiralnych schodkach Szarka. - Darmo się spierać.

- Czegoście tacy ciekawi? - dopytywał się z góry zasapany niziołek.

- Kto na księżniczkę nastaje - objaśniła go wiedźma, niepomna na przyciszone syknięcie Szarki.

- To nie wiecie? - zdziwił się karzeł. - Cała spichrzańska cytadela szumi o spisku. Widzicie, księżniczko, nasza dobra pani Jasenka uroiła sobie, że się z wami księżę ożeni. I z owego urojenia taka ją cholera zdjęła, że posłała w miasto swoją zaufaną, Marchlę, żeby siepaczy zgodziła, coby was cichaczem zarżnęli. A nie była to pierwszyczna, bo zawdy, jak się w cytadeli nadobniejsza dwórka pokazała, rychło ją pachotkowie z kanału wyławiali. W skórzanym

worze... Dziwna rzecz - podjął po chwili milczenia - jako on tę nałożnicę miłował, choć przecie ani najcudniejsza w Spichrzy była, ani rozumniejsza nad inne niewiasty. Nawet mu syna przez te wszystkie lata nie donosiła. A teraz nieżywa w zamkowej kaplicy leży, żyły sobie pomorckim nożem przecięła. List przy niej znaleźli, ale co w nim książkę wyczytał, nie wiedzieć, bo się w swoich komnatach zawarł i nikt do niego przystąpić nie śmie, nawet własna matka. A kapłanów, co z wieży z pociechą przyszli, precz popędził słowami tak grubymi, że strach brał słuchać. Ot, już my na tarasie! - Otworzył drzwiczki.

W istocie jednak nie był to taras, tylko cały ogród nasadzony w ogromnych donicach na dachu kupieckiej kamienicy; grunta bowiem były w mieście tak drogie, że sami tylko najzasobniejsi mieszczanie mieli prawdziwe ogrody, a i to nie przy rynkach, ale dalej na zboczach Kurdziałki.

Księżniczka z ulgą wyciągnęła się na kobiercu. Zbyt długo chodziła między kramami i kolano zaczynało ćmić tępym, upartym bólem. Przymknęła oczy i wystawiła twarz ku słońcu, które wtoczyło się już ponad wieżę Śniącego. Z wolna ogarniał ją senny, odurzający upał, a myśli znów pobiegły ku Uścieży. Przypomniała sobie ciemną sylwetkę Wężymorda na murze nad bramą, kiedy z orszakiem kapłanów odjeżdżała ku Spichrzy. Był chłodny, wiosenny dzień, a brudnosiwe niebo zdawało się opierać na wieżach cytadeli. Od Cieśnin Wieprzy krzyczały mewy.

- Widziałaś go?

Rudowłosa wojowniczką siedziała nad samą krawędzią dachu, z nogami podciągniętymi pod brodę, i przypatrywała się jej uważnie. W ostrym świetle jej oczy były zielone jak świeże wiosenne liście.

- Nie wierzę, księżniczko - uśmiechnęła się - że wałęsałaś się po mieście bez powodu. Może przekonasz księcia Evorintha, że poszłaś pokłonić się Śniącemu, ale mnie podobna opowieść nie zadowoli. Ani mnie, ani pomorckich kapłanów, jak sądzę. Musiałaś mieć z kimś spotkanie. Z kimś niebłahym, bo dla byle igraszki nie wymknęłabyś się sługom Zird Zekruna. Czy nie z kimś, kto z początkiem wiosny przybił na Tragankę dziwnym, południowym okrętem o sześciu rzędach wiosel po obu burtach? Kimś, kto nosi na plecach Sorgo, miecz żalnickich kniaziów, przy jego boku zaś wędruje kapłan Bad Bidmone i najemnik o imieniu Przemęka?

- Znasz go? - wyrwało się Zarzyczce.

- Powiedz - poradziła wiedźma. - Po kolei.

- Po kolei? - odparła cierpko Szarka. - Tu żadnego porządku nie ma i być nie może. Spotkaliśmy się w ogrodach Fei Flisyon, owej nocy, kiedy Twardokęsek poszczuł mnie na dri deonema, a kapłani Zaraźnicy kazali mi wejść na górę, do grot bogini. A potem wsiedliśmy na ten sam statek i wędrowaliśmy razem. Krótka, jeden dzień tylko. Bo o zmierzchu weszliśmy na ścieżkę skalniaka i tam się nasze wędrowanie skończyło.

To nie wszystko, pomyślała Zarzyczka, patrząc, jak wargi rudowłosej wyginają się w krótkim, krzywym uśmiechu. Właściwie nie chciała wiedzieć, kim była dla jej brata zwajecka kniahinka, która nosiła na czole znak Zараźnicy. Czy właśnie tak, pomyślała niespokojnie, spędził te lata? Pomiedzy wyrzutkami, wiedźmami i niewiastami, które rozprawiają o mordach i spiskach z taką łatwością, z jaką ja dobieram nową nić do haftowanego wzoru?

- Stała między twoim bratem i skalniakiem - wyjaśniła cicho wiedźma. - I przerąbał ją prawie na pół tym swoim wielgachnym mieczem, Sorgo.

- A sam...? - spytała prawie bezdźwięcznie Zarzyczka.

- Kiedy go ostatni raz widziałam - skrzywiła się Szarka - żyw był, a ostrzem aż nadto żwawo kręcił. Nie pomnę, co się tam dalej działo. Ta rzecz w skale była bardzo silna i nie mogłam markować ciosów. Ale nie przypuszczam, żebym do reszty dobiła twojego brata.

Zarzyczka aż się wzdrygnęła na ów węzłowaty opis. Pamiętając wczorajszą rzeź na schodach cytadeli, nie chciała sobie wyobrażać, jak musiała wyglądać tamta walka.

- Przysłał mi list z miasteczka na stoku Gór Żmijowych. Nawet nie prosił o spotkanie, pisał tylko, że będzie w Spichrzy w czas Żarów. Dlatego właśnie wyszłam wczoraj z cytadeli. Myślałam... - zacięła się. - Myślałam, że mnie odnajdzie.

- Co Wężymord na ów list powiedział? - zadrwiła Szarka. - Z błogosławieństwem wyprawił cię w drogę? Na spotkanie z bratem, który zamyśla odebrać mu władztwo, a uzurpatora zarżnąć?

- Nic nie powiedział - sucho odparła Zarzyczka. - On niewiele mówi.

- Bo mnie się wydaje - ciągnęła rudowłosa - że ci wczorajsi zbóje to wcale nie musieli być nasłani przez księżęcą nałożnicę. Albo że ją ktoś sprytnie podjudził do skrytobójstwa. Mógł cię Wężymord na przynętę wystawić i ubić, żeby tym łatwiej wywabić twego brata z kryjówki. Mógł też sam Koźli Płaszcz owych morderców zgodzić...

- Nie wierzę. - Zarzyczka oblizwała spierzchnięte wargi.

- Pomyśl więc, księżniczko. Koźlarz nie ruszył na północ, żeby wić wianki z wiosennego kwiecia. Chce podburzyć Krainy Wewnętrzznego Morza przeciw Wężymordowi i jedna sprzymierzeńców. Tyle że z nich sami Zwajcy cokolwiek znaczą, choć i oni w saku między Żalnikami a Pomortem. Przyjdzie Koźlemu Płaszczowi innych adherentów poszukać, co łatwo się nie uda, bo wszyscy znają moc Wężymorda i Zird Zekruna, który za nim stoi. A jak najłatwiej skaptować sojuszników, choćby i niechętnych? Ano kiedy im się zawczasu wybór odbierze. Bo jeśli ciebie pod samym bokiem księcia Evorintha zaszlachtują, księżniczko, Wężymord będzie zniewagę mścić i wnet jego armia stanie na spichrzańskiej granicy. A wtedy, chcąc, nie chcąc, księżę będzie się musiał z Koźlarzem pobratać. Ot, cała historia.

- Nie uwierzę, że mógłby... - głos jej się załamał.

- Nie uwierzysz? - szyderczo powtórzyła Szarka. - Władcy nie są dobrzy i źli, księżniczko. Ci, co zwyciężą, znajdą potem dziejopisów, którzy ich szlachetne czyny uwiecznią na pergaminie. Jednak w tym wszystkim nie ma dobra i zła, są tylko wilki i wrony na pobojuwisku. Koźli Płaszcz zaś... - Zarzyczce wydało się, że przez oblicze rudowłosej przebiegł cień. - Przypatrzyłam mu się w Górach Żmijowych i myślę, że zamordowana przez pomorckich siepaczy siostra bardzo mu się przyda. Czy to się zgrabnie nie składa, księżniczko? - Zaśmiała się sucho. - Byłoby wzburzenie w narodzie, bo takie rzeczy, jak mord na niewinnej dziewczce, zawsze naród burzą. Szliby na Wężymorda, wrzeszcząc twoje imię. A Koźlemu Płaszczowi może się na wieść o śmierci siostry uda zgrabnie płacz jaki, ale po prawdzie, zawsze lepiej, kiedy mniej kandydatów do tronu.

- Jednak za nim idziesz - cicho powiedziała Zarzyczka.

Szarka odwróciła twarz.

Do gospody w zaułku ulicy Krzywej, gdzie zwykli się spotykać czeladnicy szlachetnych cechów nożowników i miecznikarzy, wtoczył się z wysiłkiem żebrak w szpiczastym, obwieszonym dzwoneczkami kapeluszu pątnika. Gębę miał grubo obwiązaną szmatami, spod których przesączała się brunatnożółta materia, drogę macał drewnianym kosturem. Karczmarz z początku zamierzał popędzić dziada precz, nie było to bowiem miejsce, gdzie człek rozważny szukałby jałmużny, nadto klientela nie lubiła, jak im się podobna nędza pchała do stołu. Żebrak jednak bez zwłoki wysupłał kilka miedziaków i schrypniętym głosem zażądał piwa, po czym przysiadł skromnie w kącie i począł się przysłuchiwać rozmowom.

Te zaś, jak w Żary bywa, wiedziono rozmaite. Wygadywano hardo przeciwko księciu panu, który okolicę podatkami dusił, i przeciwko dworzanom, w czas karnawału jawnie obnoszącym się ze zbytkiem i wzgardą dla pospólstwu. Jak sobie kto lepiej popił, to i kapłanom Nur Nemruta wygrażał. Słowem, nastroje byłyby ze szczętem zwyczajne - gdyby nie niedawny napad szczuraków. Ludziska co prawda nie wspominali o zwierzołakach ni słowem, ale też nie trzeba było nikomu przypominać, ile spichrzańskich kamienic ustrojono zeszłej nocy kirem. Siedzieli więc tylko przy trzech długich stołach rozstawionych pośrodku karczmy, niby śmiali się i posługaczki klepali po tyłkach, ale była w tym jakaś posepność i nieoczekiwana zaciekłość. Jakby wiedzieli, że szykuje się jeden z owych krwawych spichrzańskich karnawałów - złe zaś ledwo zaczęło się srożyć i nieprędko przycichnie.

- Skądże was, dziadu, bogowie prowadzą? - zagadnął ktoś żebraka.

- A z daleka - odparł w pospolitym, chłopskim narzeczu. - Zza Gór

Żmijowych.

- Tedyście pewnie kawał świata oglądali - zachęcająco odezwał się gospodarz, który rozumiał, że nie ma jak ciekawa opowieść, żeby gości przy stole zatrzymać. - Powiedzcież nam, co tam w wielkim świecie gadają.

- W wielkim świecie, z podziękowaniem waszmości - żebrak zgrabnie pochwyił podsunięty przez oberżystę kufel - wszystko po staremu. Sokoły górami latają, dołom baby drą się i dzieciśka rodzą. Na gościńcu zbójcy rabują, a karczmarze wciąż skąpi. Tak drzewiej bywało, tak i po kraj świata będzie.

- Ot, sprytny dziadyga! - zaśmiał się przysadkowaty młodziak w skórzanym fartuchu i kapeluszu przybranym znakami cechu nożowników. - Ani słówko mu się nie wypnie bez zapłaty. Masz tu, dziadu, półgroszówkę, żebyś i ty we święto pohulał ździebełko. I żebyśmy waszą opowieść usłyszeli.

- Wielkie dzięki młodemu panu. - Żebrak sumiennie sprawdził zębami jakość kruszcu. - Zdrowia, szczęścia i błogostawieństwa bożego życzę. Ale wedle opowieści, to po co wam o wielkim świecie słuchać, kiedy teraz cały wielki świat ku wam przepatruje i znaku czeka?

- A czemuż to? - zdziwiła się dziewoja o perkatem nosie; inni też chętniej przychyliłi ucha, bo choć w swej spichrzańskiej dumie nie wątpili bynajmniej, że wszelkie oczy nakierowane są właśnie na nich, zawszeć miło, kiedy obcy człek podobną rzecz rzeknie.

- A to dlatego, piękna panienko - odparł z namaszczeniem żebrak, dziewoja zaś, w istocie raczej szpetna, poczerwieniła aż po czubek perkatego nosa - że się w ten spichrzański karnawał losy całego waszego władztwa na szali kolebią. Co ja gadam! Całych Krain Wewnętrzznego Morza, od Szczeżupińskich Wysp aż po najdalsze krańce Sinoborza. Całego świata może.

Ktoś zaśmiał się urągliwie w głębi karczmy, ale tłum czeladników zgęstniał wokół żebraka.

- Szedłem przez Góry Żmijowe - zaczął opowiadać. - Długo szedłem, za dnia mnie słońeczko boże grzało, nocką miesiącek drogę wskazywał, o poranku rosa strudzone nogi omywała. Dzień za dniem szedłem, miasta ludne mijałem i wąwozy, gdzie zwierz dziki krąży. Ptaszeta mi śpiewały, a dobrzy ludzie o urodzie Spichrzy prawili, o Spichrzy urodzie i mocy Nur Nemruta, co w białej wieży siedzi, pośrodku miasta. Zbójcy mi przejście dali, wilki ostawiły, spokojną mi była ścieżka, a góry przychylne. Aż do przedwczorajszej nocki - głos jałmużnika podniósł się nieco. - Bo nocki przedwczorajszej cosik się pod miesiąckiem odmieniło. Sam nawet miesiącek ze szczętem inny był, bo niziuchno nad przydrożnymi jabłonkami wisiął, od krwi przelanej ciężki, koralowy. A po bokach dróżki krzyki niewieście słyszałem, rżenie mordowanych mężów i płacz dzieciątek maleńkich...

- Szliście przez nasze ziemie wedle Modrej - z przestraczem odgadła żona karczmarza. - Jakimże sposobem zwierzołacy was oszczędzili?

- Dziecko niewinne a żebrak ślepy i po wodzie przejdą - odparł z mocą. - Pan mój, Cion Ceren od Kostura ochronił mnie, swoją mocą niby płaszczem zakrył przed oczyma plugastwa. Wiódł mnie ścieżką poprzez ciemne, jałowe pole, nad którym krzyczały kruki, a sprośna gromada wyrywała kawały z drgających jeszcze ciał. Przeprowadził mnie przez miasto wyludnione, gdzie się między murami śmierć jeno ostała i pohańbienie, a zwierzołackie przeklętniki tańcowały na martwych ulicach z trupami niewiast. I poprzez obozowiska, gdzie w wielkie wrzące kotły ciskano żywe wciąż dzieci...

- Bogowie! - odezwał się ktoś z tyłu, zza pleców czeladników, którzy teraz zbitą gromadą tłoczyli się wokół żebraka.

- Szedłem nockę całą, nogi okrwawiłem. Na darmo. Bo kiedy o świcie zastukałem do wrót cytadeli jaśnie księcia pana, pachotkowie mnie psami poszczuli.

Tłum zaszemrał niechętnie.

- Powiedzcie mi, zacni spichrzańscy mieszczanie, czemu pan wasz w Góry Sowie nie rusza? Czemu szczurzego plemienia ogniem nie prześladuje? Toż wojska ma dosyć, czemu tedy zwleka? Czemu wy po bliskich płaczecie, a on tam w cytadeli z wszetecznymi dziewczkami maskaradę szykuje? Czemu wy ledwo w zacnych piersiach gniew i rozpacz powściągacie, a on we stołpie biesiaduje, bardowie go bezecnymi śpiewkami bawią? Czemu wam w ów dzień Żarów, najświętszy z dni, wszelką radość odebrano, a on za zawartymi bramami ze Zwajcami bezbożne przymierze gotowi?

- Niepodobna! - odezwał się porządnie odziany, siwy szlachcic. - Prawda, że są w cytadeli Zwajcy, ale to jeno mały oddział najemników, co po służbie do dom wraca.

- Niepodobna? - Żebrak zaśmiał się. - Niepodobna, powiadacie, dobry panie? Tedy rzeknijcie, czemu między najemnikami zwajecki książę ukryty. Ano, samego Suchywilka w cytadeli goszczą. I zgadnijcie, zacni spichrzańscy mieszczanie, czego on tutaj szuka? Pobożność go przygnała?

- Wiele ty, dziadu, widzisz, może i za wiele - przerwał mu zeźlonym głosem drobny człek w poszarzałej samodziałowej opończy. Oberżysta niezwłocznie rozpoznał w nim książęcego szpiega i przeraził się niezmiernie, że dziadowskie opowieści ściągną mu na głowę strażników. - Ale chyba nie tymi ślepymi ślepiami, co je pod szmatą skrywasz. Tedy ja się zapytuję, skąd u ciebie podobne wieści? Wywęszone?

- Nie, nie wywęszone. - Dziad sięgnął po następny kufel piwa. - Widzicie, panie, człek ślepy wiele słyszy. Ot, jako teraz słyszę, że ktoś w wykrochmalonych halkach jaśnie panienki gmera. - Szlachcic odwrócił się ku swej córce, wysokiej, jasnowłosej dziewczynie, która zarumieniła się i szybko odsunęła od nożownickiego czeladnika. - A i to słyszałem, jakeście przed karczmą bardzo pilnie komuś obiecywali Rutewkę wytropić...

- Kurwi synu! - Człek w opończy rzucił się ku żebrakowi, ale wnet żylaste ramiona chwyciły go pod pachami, wyszarpując spośród dziadowskich słuchaczy.

I jeśli dziadyga miał istotnie słuch tak wyćwiczony, jako się przechwalał, tedy rychło usłyszałby dobiegające z tyłów gospody wrzaski i paskudne charczenie. Nożownicy czeladnicy po raz kolejny dowodzili jakości sławetnych spichrzańskich ostrzy.

- Powiadam wam, zacni mieszczanie - dziad ciągnął, jakby nic się nie stało - nie siedźcie tu i nie oglądajcie się na księcia, bo was jak cielęta na rzeź wyda. Nie dość, że krewniaków nie pomścicie, ale jeszcze wojnę w dom sprowadzicie.

- Jak to? - spytał ktoś niepewnie.

- A tak to - opowiedział żebrak - że księżę jaśnie pan się pokątnie ze Zwajcami zmawia, ale i świątynni przecie nie lepsi. Wypytajcie wielebneho Krawęska, nie prawda li, że wczorajszego ranka szcuraków w świątyni podejmował? Nie prawda li, że pospołu z pomorckimi kapłanami umyślił się ułożyć skrycie ze zwierzołakami, by nie byli przeszkodą, kiedy się wojna w Krainach Wewnętrzznego Morza na dobre rozpęta? Taka to prawda, zacni spichrzańscy mieszczanie. Ani wasi księżęta, ani kapłani nie dbają... - tu przerwał, bo ktoś z nagła pociągnął go za łokieć w ciemną sień.

- Dość się, dziadu, napytlowałeś - odezwał się nad jego uchem przyciszony głos. - Czas, żebyś się z Rutewką poznał.

- Powiadasz zatem, że nasi kapłani dogadali się z klechami Zird Zekruna?

Rutewka był roslým, bardzo chudym człowiekiem, odzianym na czarno od szpiczastego kapelusza o przesłaniającym twarz rondzie aż po klamerki wysokich butów. Ani po kapeluszu, ani po kubraku nie można było rozpoznać jego godności, choć w czas Żarów mieszkańcy Spichrzy zwykli bez opamiętania obwieszać się znakami profesji, cechów i bractw. Rutewka nie nosił nic podobnego, tylko sztywno wykrochmalona biała kryza odcinała się ostro od reszty przyodziewku. Jego twarz wydawała się pożółkła i pomarszczona niczym stary pergamin. Jednak Rutewka nie był stary - zazwyczaj ludzie nie dawali mu więcej niż dwa tuziny lat - ale jakby wyniszczony powolną chorobą. Nawet włosy, zebrane na karku w mizerny, lecz nader starannie spleciony warkoczek, sprawiały wrażenie poszarzałych i niezdrowych.

- Księżę pan zaś knuje ze zwajeckimi bluźniercami - ciągnął, wpatrując się w żebraka błyszczącymi jak od gorączki oczyma; powieki miał nabrzmięte i opuchnięte. - Ciekawe, bardzo ciekawe.

Dziad nerwowo przełknął ślinę. Po tym, jak wywleczono go z gospody,

porywacze na wszelki wypadek nadziali mu na łeb skórzany worek. Nie wiedział, dokąd go wiodą, ale dwa razy zapadł się po kostki w bagnisty rynsztok i coraz mniej sobie chwalił tę zabawę. Na koniec wepchnięto go w wąskie drzwiczki i poprowadzono schodami głęboko w dół. Powietrze było chłodne i przesiąknięte zgnilizną. Domyślał się, że jest w piwnicy, pewnie pod pokaźną, kupiecką kamienicą, czuł bowiem na twarzy zimny powiew.

W istocie, loszek był wcale przestronny, podparty na masywnych drewnianych balach i prawie całkowicie zastawiony różnymi baryłkami. Znajdowali się w składzie wielmożnego Kurzopłocha, jednego z najzacieńszych spichrzańskich kupców winnych, w baryłkach zaś leżakowały nad podziw wykwintne roczniki skalmierskiego wina. Jednakowoż szlachetny Kurzopłoch nie miał najmniejszego pojęcia, że od ładnych paru miesięcy – mianowicie odkąd jakiś czeladnik przypadkiem odkrył zamaskowane przejście z sąsiedniej piwnicy – jego składzik służył spiskowcom za tajemne miejsce spotkań. Co gorsza, szlachetny Kurzopłoch nie wiedział również, że podczas owych narad okrutnie nadwątlono zapasy skalmierskiego trunku. Szczególne spustoszenia poczęły się szerzyć, kiedy w piwnicy ukrył się przywódca spiskowców. Rutewka bowiem, choć postury nikczemnej i głowy też nie najtęższej, rzucał się na wino wielmożnego Kurzopłocha z osobliwą zaciekłością, jakby owe rzędy baryłek były szeregami jego politycznych przeciwników.

– Ale jeszcze ciekawsze, skąd ty to, dziadu, wszystko wiesz? – Rutewka podejrzliwie zmarszczył nos.

– Objawienie miałem – hardo odparł Żebrak.

– No, no. – Spiskowiec uśmiechnął się wąskimi, bladymi wargami. – Zadziwiająco dokładne objawienie i bardzo na czasie. Bo wy tam w gospodzie gębowaliście nie tylko o gościach w cytadeli jaśnie pana, ale i o tajnych kapłańskich naradach, a co się w wieży Nur Nemruta dzieje, nawet ja się wywiedzieć nie potrafię. Lecz i tego nie dość. Boś się, dziadu, nazbyt składnie zakradł do nożowniciej oberży i nie gdzie indziej, ale właśnie tam swoje objawienie zaczął głosić. Jakbyś jasno rozumiał, kędy znajdziesz takich, co cię usłyszeć powinni. A potem łębsko moje imię w pogwarki wplotłeś, zanadto łębsko jak na pospolitego jałmużnika. I coś mi się zdaje, dziadu, że mi insze jeszcze rewelacje z lęku taisz. Tedy się nie lękaj nadaremno i gadaj śmieje. Od swojego imienia zacznij. I tego, kto cię posyła.

– Moje imię niewiele wam rzeknie, wielmożny Rutewko. – Żebrak poprawił na łbie zawój bandaża. – Dość, że wieści przynoszę długo wyczekiwane. Ale jeśli to ma wam lepiej dogodzić, tedy wołajcie mnie Derkacz.

– Zatem, mój dobry Derkaczu, nic więcej mi wyjawić nie chcesz. – Rutewka skrzywił się niebezpiecznie. – A to mi się nie podoba, wcale nie. Widzisz, mój dobry Derkaczu, ja jestem człek prosty. Ze mną trzeba zwyczajnie, ze szczerego serca się rozmówić. Bo ja się tajemnicami brzydę. Bo jak mi się taką tajemnicą oczy mydli, to mogę sobie pomyśleć, że ktoś próbuje moimi rękoma

własne porachunki załatwiać. Że mnie ktoś podbechtuje, bym za niego gorące kasztany z ognia wyciągał. A jam temu wielce niechętny, mój dobry Derkaczu. I może to być rzecz dla wszystkich nieprzyjemna, tu bowiem się nożowniccy czeladnicy kręcą, a oni mają zwyczaj nosić przy sobie żelastwo. Dobrze naostrzone żelastwo. Powiadam więc po dobroci, mój Derkaczu, łacniej ty ze mną gadaj niżli z nimi, bo oni są bardzo prędcy i to nie tylko w gadaniu.

- Nie straszcie mnie, wielmożny Rutewko, jam człek niestrachliwy - flegmatycznie odparł żebrak. - Nie po to mnie tu wasze popleczniki przywiodły, żeby zaraz cichaczem zarznąć. Chciałem z wami mówić, boście człek rozumny i posłuch w mieście macie znaczny...

- Ktoś ci głupot nabajał, dziadu! - Rutewka zachichotał ochryple. - Posłuch w mieście! Odkąd mnie ksiązę pan banitą obwołał, jeno same szczury mi przyjaciółmi. Ot, siedzę w wilgotnej norze i prawie ludzkiego oblicza nie oglądam. Tyle że mi kto od święta kawał spleśniałego chleba podrzuci, żebym z głodu nie szczeł.

Użaliwszy się nad sobą, Rutewka spojrział chytrze ku dziadowi, czekając odpowiedzi. Albowiem każdy człowiek lepiej obeznany w spichrzańskiej polityce rozumiał, że z banicją to nie do końca tak było. W istocie Rutewka od kilku ładnych lat w mieście mącił. Pobratał się z biedniejszym mieszczaństwem, z rzemieślnikami, a nade wszystko z najemnymi pracownikami, czeladnikami, partaczami i całym drobnym miejskim motłochem. Trochę nawet na ratuszu zasiadał, ale co roztropniejsi mieszczańcy nie tylko że go słuchać nie chcieli, lecz jeszcze wszelkie jego zamierzenia zawczasu niweczyli. I tak się rychło skończyło, że go z rady precz popędzono, a Rutewka solennie znienawidził patrycjuszy - z wzajemnością zresztą.

Po niesławnej porażce w radzie miejskiej Rutewka już nie mieszał się w urzędową politykę i do sprawy zabrał się zgoła nieurzędowo, ale z równym zapałem, budząc coraz większe przerażenie w szeregach zasobnego mieszczaństwa. Zrazu nie ośmielał się jawnie zadzierać ani z księciem, ani ze świątynią. Ostrze jego gniewu skierowało się przeciwko wrogowi mniej groźnemu acz bliższemu i podatniejszemu na napaści - mianowicie przeciwko miejskiemu patrycjatowi. Rutewka nie był głupcem, co to, to nie. Pojmował wyśmienicie, że trudno będzie podjudzić pospólstwo przeciw starej szlachcie, a tym bardziej kapłanom. Ale ze świeżo uszlachconymi mieszczańcami rzecz się miała całkiem inaczej. Był to wróg swojski, by nie rzec, na własnej piersi wyhodowany, a przy tym bez ogródek obnoszący się ze swą nową pozycją. Jednakże tak naprawdę poszło o kwestię jeszcze przyziemniejszą - o podatki.

W Spichrzy rozumiano, że stara zasiedziała szlachta ma swoje przywileje i, przy całym zwyczajowym gderaniu, ludzie przywykli do owej niesprawiedliwości. Podobnie stała rzecz z kapłanami Nur Nemruta. Ale dlaczego byle kupczyna od nas lepszy, myśleli ponuro cechowi mistrzowie, skoro żyją nadal ludzie, co pamiętają, jak jego dziad bednarz wedle Solnej

Bramy wiórki strugał? Czemu nam książę pan kark do ziemi podatkami przygina, a byle kleszcz marny, co na lichwie się majątku dochrapał, nie dość, że grosza złamanego nie płaci, to jeszcze szóstką koni po mieście się rozbija? Dlatego, że za gotowiznę u księcia pergamin wykupił, to on na ostatek jaśnie pan? Dlatego, że mu skryba na kolasie zamiast gmerka herb wymalował, ze lwem albo i dziewczką, co gołym tyłkiem świeci?

Ostatnimi czasy owo szemranie przybrało na sile. Zbiory od lat były nader marne. Na przednówku ludzie głodowali, najpierw zaś regenci, potem książę pan poczęli bez rozmysłu sprzedawać za gotowiznę uszlachcające dokumenta. Doszło do tego, że stary Skwarek, miejski grabarz, którego co prawda nikt za rękę na okradaniu grobów nie złapał, ale głośno o tym na targowiskach gadano, wysuptał nielichy worek srebrników i powłókł się do cytadeli po dowód szlachectwa. Książęcy urzędnicy, nie zwlekając, popędzili go precz, ale całe zdarzenie wielce ludzi wzburzyło.

I wtedy właśnie znów znienacka wypłynął Rutewka. Z początku tylko gardłował po karczmach, co jeszcze nikogo za bardzo nie niepokoiło. Wkrótce jednak zaczął po placach wygłaszać rozmaite oracyje. Mówił o prastarych spichrzańskich wolnościach, o przywilejach, które sięgają czasów Vadiioneda i dowodnie wyłuszczają wszelkie świadczenia – a, naturalnie, nie znajdziesz w nich ni połowy tego, czego dziś jaśnie książę Evorinth wymaga. Wszelako zaskarbił sobie wielką sławę nie owymi historycznymi przykładami, ale nader przytomnym gromieniem świeżo upieczonej szlachty. Jakże to, wołał Rutewka na środku Rynku Solnego, czy nie widzi nasz dobry pan Evorinth, że marniejemy pod jego bokiem? Nie rozumie, że przez jego fanaberie, przez przywileje i uszlachcenia bezrozumne z każdym rokiem ubywa nas, pospolitaków, którzy cały ciężar księstwa na własnych barkach dźwigamy? Bo podatki nie lżej, bynajmniej, tyle że na mniej głów je ninie dzielić trzeba. Tedy ja się pokornie zapytuję, co pana czyni? Czy urodzenia godność i zasługi przodków szlachetne, jako drzewiej bywało, czy gotowizna, za którą u książęcych skrybów byle łajdak pergaminus sobie wykupi? Ja nie przeciwko księciu panu skargi podnoszę, ale przeciw onym pijawkom, co się na naszej krwi upały. Niechaj i oni dla pospólnego dobra się przysporzą, niechaj po staremu książęcą daninę płacą...

Jak można było przewidzieć, bardzo się jego słowa tłuszczy podobały. Aż na koniec, rozbestwiony milczeniem rady miejskiej, Rutewka spłodził Wielką Petycję. W tuzinie artykułów opisał żądania „pospolitego człowieka” i że jako zwyczajnemu chamowi strażnicy bronili mu dostępu na książęce pokoje, własnoręcznie przybił je na dźwierzach cytadeli. I tu się Rutewka okrutnie przeliczył. Albowiem książę nie mieszał się w miejskie niesnaski, ale podobne zniewagi przyjmował bardzo nieprzychylnie. Nim jeszcze dzwony oddzwoniły wieczorne modły, na wszystkich placach Spichrzy odczytano książęcy edykt, który ogłaszał Rutewkę banitą, wygnanym z miasta i surowo zakazywał

wszelkich z nim konszachtów.

Wtedy jednak było już dużo, dużo za późno. Rutewka ani myślał wynosić się ze Spichrzy. Miał nieliczne grono popleczników, którzy go chyłkiem wywiedli z domu, i odtąd zapadł się niczym kamień w błotnistych, spichrzańskich ulicach. Nie znaczy to bynajmniej, że męcenia zaprzestał. Przeciwnie, powszechnie było wiadomym, że się ze swymi stronnikami zmawia, od czasu do czasu zaś na placach pojawiały się nader zjadliwe paszkwilusy podpisane jego imieniem. Całe miasto miało przednią uciechę, bo choć Rutewka zastynał wrednymi mowami, w piśmie okazał się daleko wredniejszym. O ile przemawiając hamował się nieco, teraz z kretesem popuścił sobie cugli i nikogo nie szczędził. Że zaś miał prawdziwy talent do składania sprośnych kupletów, wnet powtarzano przyśpiewki o burmistrzu, radzie miejskiej, a nawet o księciu i pani Jasence.

A jeszcze później rzeczy poczęły iść ku gorszemu. Rutewka pobratał się z nożowniczymi czeladnikami, których była w Spichrzy ogromna rzesza, a bardzo mistrzom niechętnych. Rychło dołączyli do nich wyrobownicy, którzy w budach za murem materie barwili, nazywani pogardliwie Sinymi Kciukami, od farb, którymi upaprani chodzili. Do spisku wciągnięto też szkolarzy, co Rutewkowe paszkwilusy przepisywali, a w potrzebie umieli miejskich pachotków nielicho poturbować. I nim się ktokolwiek obejrzał, jęły się po mieście mnożyć napady na świeżo uszlachconych mieszczan. Trafiało się, że w biały dzień obdzierano ich z przyodziewy, kijami bito albo i chłostano, na skrwawionych plecach malując siną farbą owe gmerki, od których się w nowo nabytym szlachectwie odżegnywali. W końcu nawet książęcy dworzanie bali się po zmierzchu zapuszczać w co bardziej pobuntowane dzielnice. Jednym słowem, prawomocnie z miasta wypędzony, zdołał Rutewka ze swoją szajką nieprawomocnie, ale nadzwyczaj skutecznie całą Spichrzę zastraszyć.

- Raczycie żartować, wielmożny Rutewko - rzekł dziad. - Przecie aż po kraj Gór Żmijowych wiadomo, kto Spichrzą trzęsie. Co do porachunków zaś, które niby waszymi rękoma załatwiać próbuję... Wszak was, wielmożny Rutewko, do niczego zmuszać nie zamierzam, jeno posłanie wiernie przekazuję.

- Czyje posłanie?

- Nieznanych przyjaciół - powiedział żebrak. - Takich, co się waszym czynom z daleka przyglądają i pomocą pragną służyć.

- Nie przypadli mi do gustu twoi przyjaciele - kategorycznie oznajmił Rutewka. - A wieściom twym, dziadu, też nie dowierzam.

- Wasza wola, wielmożny panie. - Żebrak wzruszył ramionami. - Ale przecież musicie wiedzieć, że się wczorajszego ranka kapłani schodzili w wieży Śniącego. Wielebny Krawęsek sprosił bez mała wszystkich, którzy w mieście goszczą. Był tam i kapłan Fei Flisyon, którego domostwo przed zmierzchem spłonęło, samego zaś Krotosza nie udało się odnaleźć, choć książę nie ustaje w

wysiłkach. Jednakże nie z tego was największe zadziwienie zdjąć winno, w wieży Śniącego bowiem rzadki gość zawitał, dawno niewidziany. Sługa Bad Bidmone od Jabłoni.

- Nie wierzę. - Przywódca spiskowców dłubał w zębach długim paznokciem i nawet nie patrzył ku dziadowi. Udawał, że go wielce zajmuje spasiony szczur, który ostrożnie przechodził po poprzecznej belce nad ich głowami.

- Zważcie, że wielebny Krawęsek wezwał tych, którzy ongiś świadczyli układ między Spichrzą a zwierzołakami z Gór Sowich. Już sama owa kompania winna dać wam do myślenia.

- Tę samą bajdę wpieraliście moim ludziom w gospodzie - wycedził Rutewka. - Co z tego, że się kapłani w wieży schodzili, wolno im. A o czym radzili, darmo się spierać. Dziwna wasza bajka, powiadam, i bardzo pokrętna, a wiarę dać jej trudno.

- Tedy nie wierzcie. - Żebrak zaśmiał się. - Tu nie świątynia, a mnie wasza wiara niepotrzebna. Bo sedno nie w tym, o czym rozprawiali, ale o czym mówić mogli.

Rutewka przygryzł wargę. Namysłał się.

- Grunt, że wasi ludzie w moją bajkę uwierzyli - mówił dalej żebrak. - Nie spierajmy się o prawdę, bo tu nie o prawdę idzie. Spichrza od złości ciężko dyszy. Podsunął im książę pan wiedźmy dla ochłodzenia umysłów, co jest wyśmienity pomysł, ale wasza w tym głowa, by się na wiedźmobiciu nie skończyło. Albowiem wyście, wielmożny Rutewko, na podobną okazję ładnych parę lat czekali, a ja wam ją teraz na kiju podsuwam pod sam nos. Zadbajcie, by dobrze ten spichrzański karnawał pamiętano.

Przez długą chwilę przywódca spiskowców przyglądał mu się w natężeniu.

A potem roześmiał się na cały głos.

- Nie wiem, dziadu, kto cię do mnie wysłał - zarechotał - ale masz rację. Co nam za różnica, czy istotnie książę układał się ze Zwajcami, a kapłani szczuraków we świątyni kryją? Dość, że Zwajeccy jawnie między kramami chodzą, a za ową rzeź wedle Modrej ktoś prędzej czy później gardło da. Tyle żem wciąż ciekaw twoich sekretnych przyjaciół. I zastanawiam się, czy ci na wszelki wypadek karku nie skręcić. Bo może się zdarzyć, że usłucham twojej rady, a za kilka lat ktoś zastuka do moich drzwi i będzie się dopominał zapłaty za dzisiejszą pomoc. A ja nie zaciągam długów, nie wiedząc, kiedy je płacić przyjdzie. I w jakiej monecie.

- Przeto zostawmy rzecz, jako jest - poradził niestropiony żebrak. - Przestańcie mnie za język ciągnąć, o imię i mocodawców wypytywać. Pozwólcie lepiej, żeby bezimienny dziad głosił swoje objawienie na spichrzańskich placach. Będę krzyczał o książęcych grzechach i kapłańskim przeniewierstwie... I rychłą karę zapowiem, jeśli występku ogniem nie wypalą, jak to się zwykle w takich razach gada. Co dalej będzie, wasza rzecz.

Rutewka z zastanowieniem przymrużył oczy. I coś bardzo nieprzyjemnego pojawiło się na jego wysuszonym obliczu.

- A jak się potem u was kto o zapłatę upomni - prawił dalej żebrak - tedy z czystym sumieniem rzekniecie albo i przed ołtarzem Śniącego zaprzysięgniecie, żeście za żywota nigdy ani mojej, ani jego twarzy nie oglądali. Zresztą wasze słowo przeciwko obcego słowu będzie, a nie wydaje mi się, żeby wasi nożownicy obcych słuchali.

- I tu się, dobry Derkaczu, srodze mylisz - rzekł szyderczo Rutewka - i na miejskiej polityce zgoła nie rozumiesz. Niech się tobie nie zdaje, że po kres swych dni zamyślam schlebiać pospólstwu. Widzisz, żebraku - podjął poważniejszym tonem - mój pradziad był chłopem niewolnym i gdzieś tu wedle Spichrzy w pańskich włościach kapustę sadził. Ale snadź mu owo warzywne zajęcie nie przypadło do gustu, bo do miasta zbiegł.

- Powietrze miejskie wolnym czyni. - Żebrak pokiwał głową.

- Ano właśnie - przytaknął Rutewka. - Takoż i mój pradziad, od niewoli oswobodzon, w warsztatach przy krosnach do pracy się najmował. A mój dziad sam kobierce wedle muru splatał. Po partacku, bo przecież nikt przybłędów do cechu nie przyjmuje. Ojciec był już szanowanym rzemieślnikiem i pod koniec życia dorobił się własnego warsztatu. Ale syna wcale do rzemiosła nie sposobił. Przeciwnie, wykształcił mnie na prokuratora, co jest rzecz przydatna i rozumna. Nie będę ci, dziadu, tłumaczył, jakim sposobem rozgłosu i jakiej takiej fortunki się dochrapałem, bo czasu szkoda. Jednakże rychło się miało okazać, że patrycjusze krzywym okiem ku mnie spoglądają. To i dobrze, pomyślałem, nie będę wam nadskakiwał, ale przyjdzie czas, że wy po moją łaskę przybiegniecie, a chyżo. Bo księciu panu wszystko jedno, z kim się układa: ze mną czy z zasiadaczami, co w ratuszu radzą. Jemu o to tylko idzie, żeby w mieście spokój był, a podatki co do grosika popłacone. I kiedy się tu na dobre wrzawa rozpęta i zamęt, będzie mu trzeba jakiegoś obrotnego człeka, żeby rozbuchane umysły uspokajać. Kogoś, kto posłuch znajdzie między motłochem i w karby go ująć zdoła. Co mu szkodzi owym świeżo uszlachconym mieszczanom złota nieco upuścić? Toż dla niego czysty zysk! A ja - przyłożył rękę do zapadniętej piersi - ja jego zaufanym, a może i doradcą zostanę. Książęcym gubernatorem Spichrzy!

- Szumne plany - z zadumą powiedział jałmużnik.

- A jak myślisz, mój dobry Derkaczu - Rutewka zachichotał - jak dzisiejsi rajcy do bogactwa się dopchali? Te olbrzymie spichrzańskie fortuny, szlachetne rody... Jakby tam trocha pod patyną pogrzebać, to co się naszym oczom objawi? Ano, tuzin ladacznic, co książęce bękarcięta w żywocie nosiły. Ale prócz tego znajdziesz, zacny Derkaczu, wielką mnogość rebeliantów, co niegdyś pospólstwo przeciw zwierzchności wiedli, wszakoż nie po to, aby oblicze świata zmieniać, lecz własnej ambicji dogodzić. A potem na plecach motłochu wspięli się do owychdostojeństw, które zrazu gromili. Tak to się właśnie dziwnie na

bożym świecie plecie: dziś buntownicy, jutro buntowników pogromcy. Tylko pokorni do śmierci kapustę sadzą!

Jeśli do tej pory żebrak niebezpieczeństwa nie spostrzegł, to z owej nieoczekiwanej otwartości pojął bezsprzecznie, że Rutewka w żadnym razie nie pozwoli mu dożyć do końca karnawału.

Werble zagrały marszowym rytmem i z podcieni okalających Solny Rynek wyłoniło się czoło świątecznego pochodu. Na samym przedzie niesiono świętą chorągiew ze złotym wizerunkiem żmija, od niepamiętnych czasów przechowywaną w świątyni Nur Nemruta. Za nią dumnie kroczyli rajcy miejscy, starając się dostosować krok do wybijanego przez werblistów tempa. Jednak nie bardzo im się owa sztuka udawała. Po części dlatego, że przywdziali sute, świąteczne szaty i podbite futrem płaszcze w spichrzańskich barwach. Wzrok Zarzyczki przyciągnął grubasek w naszywanym złotymi łuskami kubraku. Dreptał nieco w tyle i już teraz wydawał się okrutnie znużony. Dziw będzie, pomyślała ze współczuciem, jeśli się w tym upale z kretesem we własnym sosie nie ugotuje.

Za rajcami, jak świąteczny zwyczaj każe, szło żebracze bractwo. Był to ich dzień. Ponieważ w czas karnawału na opak odwraca się wszelkie codzienne prawa, jałmużnicy zajmowali miejsce pośledniejsze jedynie wobec rady miejskiej. Cały rok pogardzani i lżeni, teraz maszerowali dumnie środkiem rynku. Z przodu Zarzyczka rozpoznała gromadkę wedle tradycji poprzebieraną za kapłanów Krain Wewnętrzznego Morza. Rudobrody wojownik z Wysp Zwajeckich w wysokim, zwieńczonym turzymi rogami szłomie wspierał chudziutkiego kapłana w brunatnej pomorskiej kapicy i owa niebywała komitywa wzbudziła wśród gapiów wrzawę radosnych okrzyków. Służka Hurk Hrovke, niska, garbata starucha przyodziana w resztki popękanego bechtera pędziła stadko kóz i ku powszechnej uciechu okładała je na płask mieczem. Słyszący ze skąpstwa sługa Zażnicy rozrzucił w tłum deszcz pomalowanych złotą farbą drewnianych dukatów.

A z tyłu Zarzyczka spostrzegła rosnącego człowieka w łaciatej opończy. Niósł papierowy proporzec, na którym – o dziwo – powiewały znajome lwy. Stara chorągiew żalnickich kniaziów, którą książę nakazał na jej cześć wywiesić na spichrzańskiej cytadeli.

Łzy zakręciły się jej w oczach.

– A Wężymord? – spytała znienacka Szarka. – Opowiedz mi o Wężymordzie, księżniczko. I o tym, jakim sposobem już od trzech pokoleń na północy go oglądają.

– Nie wiem. – Zarzyczka aż się wzdrygnęła. – Nie chcę wiedzieć. To sprawy

między nim a Zird Zekrunem. Nieludzkie sprawy, nieczyste. Nie pytajcie mnie o nie.

- Ja wiem - wtrąciła wiedźma. - Mówili o tym wczoraj na Tragance.

- Gdzie? - zdumiała się księżniczka.

- Potem - ucięła niecierpliwie rudowłosa. - Wiedzmo, nie powinnaś była zwlekać z podobnymi wieściami. Zbyt wiele nas twoja opieszałość może kosztować.

- Przecież sama wiesz, co się zdarzyło z Wężymordem. - Piegowata niewiastka zmarszczyła nos. - Wiesz dobrze, jak to robią, niektórzy z nich, ci, co przychodzą z wody. Potężna magia, utkana z krwi i własnego ciała, by dwoje mogło stać się jednym i przeżyć.

W rytmie werbli coś się nieznacznie zmieniło. Nowa, dziwna nuta wkradła się do melodii. Przez rynek szły teraz cechy rzemieślnicze. Jednakże Zarzyczka widziała wyraźnie, że wiele z nich nie wystąpiło bynajmniej pod uroczystymi proporcami żmijów. Przeciwnie, zamiast złotych wizerunków węży nieba nad pochodem coraz groźniej powiewały czarne, żałobne chorągwie. Na licznych zaś kapeluszach księżniczka nie dostrzegała znaków cechowych, tylko szerokie, sine szarfy. Opadały maszerującym aż na plecy, a na ich krańcach wymalowano znaki, których nie potrafiła odczytać.

Rozumiała tylko tyle, że uprzednia radość tłumu zamierała i nikła bez śladu.

Szarka patrzyła ponad głowami pochodu, prosto w słońce. Siedziała bez słowa, a po jej policzkach z wolna płynęły łzy.

- Nie chciałam w to wierzyć - powiedziała wreszcie cicho. - Nie chciałam wierzyć, że także tutaj...

Zarzyczka bezradnie spojrzała ku wiedźmie.

- Dawno temu, kiedy jeszcze szczyty Pomortu leżały na dnie morza - błękitnooka niewiastka przymknęła oczy i zaczęła opowiadać, a jej głos zmienił się i nabrał osobliwej głębi - Zird Zekrun odnalazł Wężymorda i wiele mu przyobiecał: okręty niedościgłe, nad krainami władzę, sławę po kraj świata. Zemstę nad rodem żalnickiego kniazia. I nieśmiertelność. - Księżniczka ze świstem wciągnęła powietrze. - A kiedy nadszedł czas, żeby wypełnić obietnicę, Zird Zekrun począł przywabiać z głębin morza sorelki, nieśmiertelne boginki, które żyją u korzeni lodowych gór. Przybywają do pomorckich brzegów na wezwanie, gdyż nawet przedsięwzięcowa moce nie potrafią oprzeć się woli boga równie potężnego, jak Zird Zekrun. On zaś wprzęga je kropla po kropli w ciało Wężymorda, bo człowiek jest zdolny zgodzić się na wiele, bardzo wiele, by zejść ze ścieżki śmiertelnych...

Tymczasem w dole zza pleców rzemieślników wybiegło stadko dziewcząt w żółtych sukniach i wiankach ze świeżego kwiecia. Prastarym zwyczajem zbierały od gapiów gliniane figurki chrabąszczy i myszy, prześladujących

okoliczne pola, i rozbijały je na gościńcu, by zapobiec plagom czy nieurodzajom i zawczasu odwrócić wszelkie nieszczęście. Tańczyły przy tym dziwaczny, powolny taniec, którego znaczenia nikt nie potrafił już odgadnąć. Lecz tego roku zamiast błogosławieństw posypał się ku nim istny grad brunatnych farfurek.

- Dalejże! - wrzasnął karzeł. Drapieźnie wychylony nad rynkiem, wydawał się jedną z dziwacznych maszkar, którymi zdobiono mieszczańskie dachy. - Dalejże, tańczujcie, ladacznicze!

Jakby zachęcona jego okrzykiem, gromadka przebierańców o twarzach zakrytych czarno-żółtymi maskami wpadła pomiędzy dziewczęta. Nim strażnicy miejscy zauważyli cokolwiek, pochwycili kilka tancerek i umknęli w boczną uliczkę. Pozostałe z przerażeniem zbiły się wokół platformy, na której umocowano karnawałową kukłę, jednak nie mogły znaleźć żadnej ochrony przed coraz liczniejszymi pociskami.

To figurki szczuraków, spostrzegła Zarzyczka.

Wysoka, jasnowłosa dziewczyna, która miała prowadzić korowód, krzyknęła przeraźliwie, ale nie zdążyła się uchylić. Na jej czole wykwitła krwawiąca, czerwona rana. Przez chwilę, póki książęcy pachołkowie nie podnieśli szlochającej panny, księżniczka miała wrażenie, że pospólstwo ją ukamieniuje.

Tak samo, jak Wężymord kazał kamienować wiedźmy nad brzegami Cieśnin Wieprzy, pomyślała nagle.

- Wziął od wodnic nie tylko nieśmiertelność - powiedziała Szarka. - Moja piastunka była jedną z nich. Z nienawiści do naszego plemienia wprzęgła się w człowieczy kształt. W ciało zwyczajnej wiejskiej niewiasty.

- Przyjęła znacznie więcej niż kształt - odparła metalicznym głosem wiedźma. - I nawet jeśli była bardzo silna, nie zdołała odrzucić tego bez reszty.

- To prawda - zgodziła się posępnie Szarka. - Była zima. Moja matka umarła przy porodzie, żaden zaś z najemników Dumenerga nie miał pojęcia o piastowaniu niemowląt. Zrobili więc to, co wydawało się im najłatwiejsze. Najechali pierwszą lepszą wioskę i oznajmili sołtysowi, że obwieszają go na gruszy, jeśli gwałtem nie znajdzie mamki. I wtedy właśnie pojawiła się Mokerna. Prosta wiejska gospodyni w pasiastym fartuchu, a przynajmniej tak wszyscy myśleli. Wrzała wojna. Dumenerg nie mógł długo popasać w jednym miejscu, a nie chciał ani wypuścić mnie z rąk, ani zostawić na łasce wieśniaków. Na koniec postanowił zabrać ze sobą i dziecko, i piastunkę. Odkąd pamiętam, Mokerna zawsze była przy mnie: jedyna matka, jaką miałam, matka, która wykarmiła mnie własnym mlekiem. Niska, przysadkowata, o brunatnych włosach splecionych na karku w ciasny kok i twardych, spracowanych rękach. Gdybyście mogły widzieć, jak wyglądała przedtem... Gdybyście mogły zobaczyć je w ich krainie... Jedno z tych błękitnowłosych, wiotkich stworzeń, których żywiołem jest woda...

- Sorelki - rzekła w zadumie księżniczka. - Słyszałam ich śpiew. Dawno temu, nad Cieśninami Wieprzy.

- My nazywaliśmy je inaczej - ciągnęła Szarka. - Mieszkały na skraju naszej ziemi, pośrodku trzęsawiska, i im bardziej nasze władztwo rośnie w siłę, tym bardziej marniała ich kraina. To stara historia i stara nienawiść. A tamtego zimowego poranka Mokerna nie stanęła przed najemnikami Dumenerga jedynie po to, aby mnie wykarmić, ale też aby mnie przemienić i obrócić przeciwko własnemu plemieniu. Czasami myślę - podjęła po chwili - że to ją zabijało. Sposób, w jaki próbowała mnie nagiąć do własnych celów i zniszczyć... A jednocześnie naprawdę była moją matką i te dwie natury rozrywały jej serce na strzępy.

Coś w twarzy rudowłosej sprawiło, że Zarzyczka musiała spuścić wzrok.

Na rynku książęce draby zdołały wreszcie stłumić kotłowaną i szlachetny cech nożowników, który rokrocznie bawił gapiów starodawnym tańcem z mieczami, mógł rozpocząć występy. Przy ostrym dźwięku piszczałek dwie grupy mężczyzn ruszyły ku sobie, przytupując i wyrzucając nad głowę krótkie ostrza. Było to początek widowiska, które zapowiadało pojawienie się spichrzańskiego Krogulca - przebierańca, który przyjął na siebie rolę dumnego symbolu miasta.

Jednakże to, co wybiegło między nożowników, nie było bynajmniej Krogulcem. Zarzyczka ze zdumieniem spostrzegła pękatą, otoczoną w pierzu postać. Głowę dziwoląga zdobił okazały czerwony grzebień, a na kuprze miał przytroczony sterczący wiecheć. Zakolebał biodrami, spod ogona posypały się kurze jaja. Nie rozumiejąc, księżniczka gapiała się, jak jaja rozpryskują się na kamieniach rynku. A kiedy stwór odwrócił się ku niej, wypatrzyła na jego piersi napis: KAPŁON.

Gdacząc i drobno przebierając nogami, świąteczny kapłon jął się na przemian wdzięczyć do książęcych strażników i gromko wypominać im tchórzostwo oraz opieszałość w gromieniu szczuraków.

To już nie jest zabawa, pomyślała ze strachem Zarzyczka, nie karnawałowe drwiny i prześmiewki. Ktoś tych ludzi próbuje podjudzić przeciwko zwierzołakom. I księciu Evorinthowi.

- A później? - spytała wiedźma.

- Została przy mnie - odparła rudowłosa. - Została przy mnie do samego końca. Knuła i spiskowała, a przecież była jedyną niewiastą w stołpie, która trzymała mnie za rękę, kiedy majaczyłam w gorętwie. Potem zdarzyło się, że wydała buntownikom klucze do zamczyska. Byłam pijana. - Skrzywiła się. - Wywlekli mnie z donżonu. I kiedy mnie wreszcie Eweinren odbił, nie pozostało wiele do ocalenia. Ale przeżyłam, wylizałam się i Llostris, ryza wilczyca, znów poczęła kąsać. Mokerna przewiązywała mi rany, uwierzycie? Myła mnie, opatrywała i płakała... A ja... - Zaśmiała się cierpko. - Poświęciłam kogoś, żeby

ocalić jej życie i nawet dzisiaj nie potrafię wyjaśnić, dlaczego. Musiałam wskazać zdrajcę i zrobiłam to. Brata Eweinrena. Nie powiedział ani słowa – z mojego powodu – i ścięli go na szczycie wzgórza, przed zamkiem. Pamiętam, padał deszcz, a kat był niewprawny w rzemiośle i uderzał trzy razy. Może już wtedy wszystko było przesądzone. Zresztą nie. – Potrząsnęła głową. – O Mokernie wiedziałam wcześniej. Tamtej nocy, kiedy rebelianci zdobyli zamek i zatknęli głowę Dumenerga na palisadzie, a mnie ktoś zarzucił na głowę biały welon z weselnej koronki. Wówczas właśnie zrozumiałam, że ona jest z wodnic. Ale dopiero wówczas, kiedy otworzyła wrota buntownikom i dopadli mnie w mojej własnej komnacie... Pamiętam, jak ktoś cisnął mnie na podłogę i leżałam w kałuży wina, a obok mojej twarzy zdychała suka z rozplatanym brzuchem...

Zarzyczka przymknęła oczy. Pod powiekami miała wspomnienie czy też przecucie, bo przecież nie mogła pamiętać, owej nocy, kiedy pomorccy piraci spalili rdestnicką cytadelę, a głowę jej ojca obnoszono na pice wokół płonących murów.

– Ale nawet po tym jej nie odprawiłam – Szarka mówiła spokojnym, miarowym głosem, jakby to nie była wcale jej historia. – Mokerna też nie odeszła, choć pewnie dobrze rozumiała, że ja wiem. I dopiero dużo później, znacznie, znacznie później, kiedy próbowała mnie powstrzymać przed czymś, co musiało zostać zrobione, wtedy właśnie przygwoździłam ją dwoma mieczami do gobelinu.

Kiedy to się zdarzyło? – pomyślała z przerażeniem Zarzyczka. Bogowie, ona nie może być wiele ode mnie starsza, kiedy więc to mogło być? Nim skończyła półtora tuzina lat? Jeszcze wcześniej?

Na rynku zaś donośniej zabrzmiały werble i przeciągły, jękliwy głos rogów: oto wjeżdżała Śmierć – wychudzona, łysa niewiasta okrakiem na ośle. Na gołych plecach miała wymalowane wapnem kości szkieletu, a jej starcze, obwisłe piersi żałośnie kołysały się w rytm kroków zwierzęcia.

To powinien być patrycjusz, przypomniała sobie Zarzyczka, przebrany w antyczną paradną zbroję dla upamiętnienia pierwszego księcia Evorintha, który powędrował za Krogulcem i z woli Nur Nemruta wzniósł zręby cytadeli. Co oni robią?

Daleko, na zboczu Jaskółczej Skały dostrzegająca wciąż czoło pochodu. Mignęła jej świątynna chorągiew ze złocistym wizerunkiem skrzydlatego węża: wiatr targał materia i żmij falował nad ludzkim tłumem, jakby za chwilę miał się zerwać do lotu. Tak, znała te wszystkie legendy. I kiedy przymknęła powieki, widziała znów smukłe, roziskrzane ciała żmijów, kiedy opadają na mury rdestnickiej cytadeli, by zwiastować narodziny jej przodków. Błysk ognia na ramie żmijowej harfy – przed paleniskiem bawi się maleńka dziewczynka, którą przedksięźcowi nazwą Thornveiin, a śmiertelnicy będą przeklinać we wszystkich Krainach Wewnętrzznego Morza. Pieśniarz spogląda na nią w zadumie, wydobywając ze strun powolne, smętne dźwięki pieśni o Szalonej

Ptaszniczce.

A potem znowu: zapach jabłek, dźwięk harf. Wigilia Żarów w prastarej uścieskiej cytadeli. Srebrzyste dzwoneczki śmiechu wysokiej Zwajki, której łódź rozbiła się na podwodnych skałach w Cieśninach Wieprzy. Trzej harfiarze pochylają się w ukłonie aż do samej posadzki – każdy z nich jest żmijem, lecz tego wieczoru grają tylko dla dziewczyny o złotorudych włosach, której matka była Iskrą, młodszą siostrą bogów, i przemierzała bezdroża północy w kohorcie Org Ondrelssena od Lodu. Niepomna na swary między Wyspami Zwajeckimi i Żalnikami – bo nad Cieśninami Wieprzy wojna jedynie przygasa, by z wiosną rozżarzyć się na nowo – córka Iskry wznosi toast za sztukę żmijowych harfiarzy, brzęk tłuczonych kielichów uderza zaś aż pod powałę. W trzy miesiące później żalnicki książę poślubi ją w wielkiej sali rdestnickiej cytadeli, a wszystkie żmijowe harfy zagrają zgodnym tonem.

Zarzyczka znów opuściła wzrok na plac. To nie jest mój karnawał, pomyślała ze strachem. Świat zatoczył ogromny krąg, aby córka żalnickich książąt mogła spotkać odległą dziedziczkę krwi Iskry w największe święto Krain Wewnętrznej Morza. Jednakże nie było pieśni żmijowych harf, tylko krzyki pospólstwa na placu pomiędzy kupieckimi kamienicami. Za Śmiercią bowiem wtoczył się chłopski wózek. Zwyczajna dwukółka, lecz zamiast wołów ciągnęły ją trzy pary dorodnych, opastych wieprzy. Na wózku zaś piętrzyła się sterta nagich, nieruchomych ciał, wśród których zatknięto chorągiew ze szczerzącym zębem szczurakiem.

Kiedy wóz dotarł na środek rynku, spośród trupów wyprysnął kolejny przebieraniec – drobny stwór porośnięty siwą sierścią. W gębie trzymał ludzkie ramię, a szyję miał owiniętą krwawymi strzępami, które bardzo przypominały wnętrzności.

Ktoś zaczął straszliwie wrzeszczeć.

Karzeł wybuchnął śmiechem i splunął prosto w wózek.

– Z Wężymordem jest inaczej – odezwała się wiedźma i Zarzyczce zrobiło się niedobrze. Po tym, co usłyszała i zobaczyła, nie chciała zgłębiać historii Wężymorda. – On nigdy nie pragnął kształtu sorelek, tylko ich nieśmiertelności i ich mocy, a wspierała go cała potęga Zird Zekruna. Nie wiem, skąd w nim tyle siły. Bo on za każdym razem, każdego roku na nowo przechodzi przez własną śmierć. I wciąż bardziej oddala się od ludzkiego plemienia...

Teraz Zarzyczka miała go wyraźnie przed oczami: błękitne źrenice i sposób, w jaki spoglądał na Wewnętrzne Morze. To musi go wzywać, pomyślała, zew sorelek i otwartego oceanu.

Ale był również pirat, który kazał obnosić głowę jej ojca wokół płonącego Rdestnika.

– Skąd wicie podobne rzeczy? – spytała wreszcie.

– Słyszałaś przecież o wiedźmach, księżniczko – odpowiedziała Szarka.

- Fea Flisyon przywołała mnie na Tragankę - zaznaczyła poważnie wiedźma.

- Zaprosiła.

- A wy? Bo coraz mniej wierzę w odnalezioną córkę Suchywilka.

- Prawda. - Uśmiechnęła się. - Ojcowie nie odnajdują zagubionych córek, księżniczko, nie w tym świecie ani w żadnym innym. Może byłoby lepiej, gdybym to zmilczała, lecz zdaje mi się, że kiedyś możesz potrzebować tej wiedzy, aby wytargować swoje życie. Nie będę walczyć dla twojego brata o spłachetek lądu, który uważa za swoje dziedzictwo. Ani dla Delajati, cokolwiek zamyśla. W tym kraju noce są czerwone, a przedksiężycowi górują nad śmiertelnikami i nic nie jest takie, jak być powinno. Jednak nie pozwolę, aby ktokolwiek: Koźlarz, Wężymord czy sam Zird Zekrun wbrew mej woli popchnął mnie w jakąś stronę. Bo przeszłam bardzo długą drogę i zabijałam wcześniej przedksiężycowych. I nawet gdybym nie zdołała tego dopiąć - dodała - a najpewniej tak właśnie będzie, jestem bowiem w obcym kraju, a stare obietnice tracą moc z dala od miejsca, gdzie je przyrzeczono... Choćbym więc nie zdołała tego dopiąć, są jeszcze inne rzeczy, które idą za mną.

Kto wie, pomyślała gorzko Zarzyczka, może naprawdę mogłaby to uczynić? Kto wie, jak daleko sięga moc Iskry? Jednakże poza wszystkim jest legenda. Legenda północy o młodszej siostrze bogów, która ongiś rzuciła wyzwanie wszelkim mocom i wyrzekła się nieśmiertelności. Być może starczy, aby rudowłosa córka Suchywilka - nawet jeśli nie jest jego córką - krzyknęła, a Morze Wewnętrzne pobieleje od żagli. Jeśli wzniesie chorągiew Selli i obieca im wyprawę, zbiegną się do niej jak wilcy do ścierwa, zbiegną się z całej północy. Z Wysp Zwajeckich, z Sinoborza, z pirackiej Skwarny albo z samego Pomortu. Dość, aby zawołała, a pójdą za nią, choćby przeciwko Zird Zekrunowi - jakby północ wciąż była młoda, a zręby Pomortu leżały na dnie morskim. Tyle że od tamtych czasów wszystko się odmieniło. Zgubiły się ścieżki do źródła żywej wody, umilkły żmijowe harfy, legendy zaś nie chadzają więcej pomiędzy śmiertelnikami.

- Chciałabym - powiedziała bezwiednie Zarzyczka - żeby powrócili żmijowie. Chciałabym, żeby wszystko było, jak kiedyś. Zwyczajnie. Jak należy.

Aby przeczytać całą książkę, odwiedź www.legimi.com

Aby przeczytać całą książkę, odwiedź www.legimi.com

Aby przeczytać całą książkę, odwiedź www.legimi.com

Aby przeczytać całą książkę, odwiedź www.legimi.com

Aby przeczytać całą książkę, odwiedź www.legimi.com

Aby przeczytać całą książkę, odwiedź www.legimi.com

Aby przeczytać całą książkę, odwiedź www.legimi.com

Aby przeczytać całą książkę, odwiedź www.legimi.com

Aby przeczytać całą książkę, odwiedź www.legimi.com

Aby przeczytać całą książkę, odwiedź www.legimi.com

Aby przeczytać całą książkę, odwiedź www.legimi.com

Aby przeczytać całą książkę, odwiedź www.legimi.com

Aby przeczytać całą książkę, odwiedź www.legimi.com

Aby przeczytać całą książkę, odwiedź www.legimi.com

Aby przeczytać całą książkę, odwiedź www.legimi.com

Aby przeczytać całą książkę, odwiedź www.legimi.com

Aby przeczytać całą książkę, odwiedź www.legimi.com

Aby przeczytać całą książkę, odwiedź www.legimi.com

Aby przeczytać całą książkę, odwiedź www.legimi.com

Aby przeczytać całą książkę, odwiedź www.legimi.com